II. 97. 390

CHAOS.

SZCZYPTA KADZIDŁA
cieniom wierszokletów.

OD

Witališa Homu-Jedzic.

wydał

(JOHN OF DUCALP.)

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1842.

Ks. Placyd Jankowski -
(Tłumacz Szekspira, Goethego etc.)
Ze Łukaszewicz Lesław: Rys dziejów przeniesienia
[illegible]skiego Poznań 1866 str. 581. 585.
J. Bartoszewicz Historyę literatury polskiej
Warszawa 1866.

Chaos.

CHAOS

SZCZYPTA KADZIDŁA

CIENIOM WIERSZOKLETÓW.

OD

Witalisa Komu-jedzie.

ZNACZNIE ODMIENIŁ, POWIĘKSZYŁ

I POWTÓRNIE WYDAŁ

JOHN OF DYCALP.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1842.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
300010034220 96

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1842 roku 30 Marca.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
Jan Waszkiewicz.

II. 97. 590

BIBLIOTEKA NARODOWA

Kilka słów od Wydawcy.

Ś. p. Witalis Komujedzie, *herbu* Jastrzębiec, *zaszczycał mię zawsze, z łaski swojéj, jak najściślejszą przyjaźnią. Byliśmy z nim, co w dzisiejszych czasach brzmi już prawie bajecznie:* jedno serce i jedna dusza.

Na kilka miesięcy przed nieodżałowanym zgonem tego kochanego męża, otrzymałem od niego, z poczty Krożskiéj, list następujący:

„*Wielmożny Mości Dobrodzieju!*
„*Dochodzą mię wieści, że Drukarz*
„*Wileński Starozakonny* A. Dworzec,
„*którego jak Panu memu wiadomo,*
„*zapozwałem o przeinaczenie kilku ar-*
„*tykułów mojego* Chaosu, *i o dodanie*
„*kilku innych własnego wyrobu, jedy-*
„*nie dla powiększenia objętości książki,*
„*zapiera się teraz tego* faktu *i nawet*
„*oświadcza gotowość do przysiężenia*
„*swéj niewinności* na dziesięcioro. *Niech*
„*mię Bóg broni, aby z mojego powodu*
„*miało przyjść aż do krzywoprzysięż-*
„*stwa! Ale umyślilem przesłać Ci, Dro-*
„*gi Przyjacielu, rękopis* Chaosu in pu-
„ris naturalibus, *to jest w takim stanie,*
„*w jakim on był, nim się dostał w ręce*
„*JMPana Dworca. Jeżeli znajdziesz*
„*kiedy sposobność do ogłoszenia go*
„*drukiem, cała rzecz sama z siebie naj-*
„*lepiéj się wyjaśni, chcę mówić, okaże*

„*się jak na dłoni, co było mojém choć*
„*i złém, a co dobrém lecz cudzém.*
„Suum cuique!

„*Piszesz mi, Kochany Przyjacielu,*
„*w ostatnim liście* — praesentium — *że*
„*niektórzy z liczby światłych i pełnych*
„*pobłażania krytyków naszych, goto-*
„*wi-by byli uznać* Chaos *dość znośném*
„*i trafiającém do celu* czytaniem poo-
„biedniém, *jeśliby nie ta mordująca*
„*lozność i ułamkowość zawartych w nim*
„*fraszek. Ha! mój Dobrodzieju! Toć*
„*nie czytajcie ich jednym ciągiem!* Sed
„haec per transennam! — *Prosiłbym*
„*tylko i obowiązywał WMPana Do-*
„*brodzieja, na tę przyjaźń, którą asse-*
„*kuruję mu dochować aż do grobowéj*
„*deski, abyś w powtórném wydaniu*
„*mojego rękopisu, jeśli kiedy do tego*
„*przyjdzie, dodał cośkolwiek* swojéj
„ręki. *Niechby ta nasza spółka była*

„symbolicznym znakiem i pocieszającém „na potomne czasy świadectwem, do- „skonałego podobieństwa myśli i zgo- „dności affektów—z jakiémi" i t. d.

Oto są ważne i autentyczne przyczyny, które nas skłoniły do niniejszego powtórnego wydania téj książeczki.

John of Dycalp.

WIERSZ

DO BAKI I DO CZYTELNIKA!

W duchu Bakchicznym (*).

Promienny cieniu!
W czarno-śnieżystéj sutani!
Gdy słońce w zaćmieniu
Zwiedza znak barani,
Tobie kwoli,
Pan Podstoli

(*) Już ś. p. Poecie zarzucano, że jego wiérsze nie mogą się nazywać bachicznémi: na co nieboszczyk Baka wręcz odpowiedział: że on ze swojéj strony nie miał nigdy najmniejszéj przyczyny do użalania się na Bachusa, i że ten bożek, którego jest największą roskoszą obcować z synami padołu, zgodziłby się zapewne na te poetyczne zaślubiny ich nazwisk w kościele pamięci. Czytaj o tém: *Plinijusza* naturalistę, *Tostata*, *Guizot'a*, i innych.

I Apollo i Klio i księżyc z gwiazdami,
Uplakali się łzami.

Piśmienny Czytelniku! wiesz co zacz był Baka?
On to unieśmiertelnił *Rajmunda Korsaka*,
A potém jeszcze jednego śpiewaka...
A wszyscy trzéj mężowie czyste plemie *Kraka*!

O ty złośliwy Aniele!
(Nie! nie ciebie Lauro zowię!)
Którego nazwiska śmiele
Bez znaku krzyża na czele,
Nawet ma Ciocia nie powie:
Choć pewnym że z tobą w zmowie
Choć cię wzywa w każdém słowie,
Za to krzyżów wiele, wiele!

Ciebiem ja przywykł od dziecka,
Widziéć ubranym zniemiecka,
Lecz gdy podobasz w żupanie,
Jak cię *Herr Gottlob* maluje,
Przesąd mną nie powoduje,
Nie czyni Mnicha ubranie,
„*Mein Herr!* czy *mein Frau!* czy *Pani!* czy *Panie!*"
O idź mi z oczu Szatanie!

—Za cóż to?—Jeszcze za co?.. o bezczelność jaka!
Lecz proszę o uwagę! ma mówić sam Baka:

Wczorajszéj nocy, wieszcz ten bogobojny
Zmarły, jak wiecie, w świętości zapachu,
Nagnał mi, muszę wyznać, *panicznego* strachu
Zbudził i jął opiewać swoje z piekłem wojny.

—„Synu! rzekł, rzuć pierzyn grzędy!
„Wstań i posłuchaj legendy
„Krótszéj od méj rewerendy,
„Ale milszéj od kolendy:

LEGENDA.

Pod obłokami samemi,
Ujrzałem kiedyś wieśniaczkę z *dom Remi*,
Sławną dziewicę Orlanu.
—Tyżeś to, rzekłem, niegodnie spalona,
Za niecną radą *Koszona*? (*)
Ona mi rzekła—Padam do nóg Panu!

—Synu! rzekł zwolna niknąc, okazały Baka,
Raz tylko jeden w nieszczęsną godzinę,
I to pod obłokami zagadłem dziewczynę,
Jeszczem nie był w zakonie!—ot złość piekieł jaka!"
Zniknął. — Bako! krzyknąłem, romantyku prawy!
Tyś stargał pęta sensu i nudnych jedności,

(*) Wiadomo, że Joanna d'Arc była rodem z *dom Remi* (inaczéj *Dompre*) i że została spaloną przez Anglików w *Rouen*, za radą b. *Cochon*.

Ale pełniłeś święcie Lojoli ustawy,
Pisałeś sobie wiérsze nie dla potomności,
Rozmyślałeś o śmierci, dla własnéj zabawy;
Stałeś się jednak łupem harpii mierności!
Tłuszcza ballad i legend pienia twe przetwarza,
Wad tylko naśladując wielkiego pisarza.

O czytelniku cierpliwy!
Niech Ci będzie wiek sędziwy!
I dobre, posłuszne wnuki!
I sen od téj banaluki!

Zamiast Przemowy.

Przyczyna najświetniejszych czynów i najstraszliwszych zbrodni, obfite źrzódło przyjemności, i najboleśniejszych męczarni, węzeł przywiązujący do życia, i początek wszystkich nędz życia...

—To już coś o tych biédnych kobiétach, rzekła Uwaga przysłuchując się tym myślom. Jam dumał i pisał daléj:

BIBLIOTEKA NARODOWA

Podnieta wszelkiéj doskonałości, i główna tama do należytego udoskonalenia władz danych nam od Boga...

Uwaga: Zgadłam!

Piżmo przejmujące wszystko swą nieznośną wonią....

Uwaga: Osobliwsze porównanie! Byłoby mu, gdyby o tém wiedziała żona!

Stułokciowy wstęgowiec, starannie wewnątrz nas utajony, a przecięż, co chwila, dający nam uczuć iż się znajduje...

Uwaga: Co? co?

Gadzina wszędy jad swój wylewająca, i na poziome trawki, i na kwiaty godne ołtarza!...

Uwaga: Ach! ja nieszczęśliwa!

Najzdradniejszy z przyjaciół, najpodlejszy z pochlebców, najzgubniejszy z doradźców.

Uwaga: Czy się on powadził z żoną?

Poczwara uzacniona imieniem: *miłości własnéj...*

Uwaga: (trącając i budząc *miłość własną*:) Ach! dla Boga! czy widzisz siostro co on pisze?

Miłość własna: Uspokoj się! Ja to mu sama dyktuję. On pisze do druku.

Pożegnanie 1834 roku.

Za cóżby nie można było pożegnać się choć kilką słowy z kończącym się rokiem? Szczęściem jest to pytanie równie jak tyle tysięcy literackich, filozoficznych, tudzież wiele innych, tego rodzaju, iż jakkolwiek je rozwiążemy, żadna ztąd szkoda nie wypłynie dla ludzkości. A więc pożegnajmy rok 1834, tém czuléj, że na zawsze; tém czuléj, że rozstajemy się z nim po

przyjacielsku. Tylkoż bez wielkich zachodów! Wkrótce już przywdzieje on zasłużoną szatę historyczną, i przestanie być dla nas potrzebnym; pożegnajmy go więc kilką ladajakiémi uwagami, podobnie jak żegnamy byłego urzędnika, kilką niezbędnémi kadzidłami.

Uwaga 1) Jako waza pończu z niepoliczonych szacownych kropelek, tak życie nasze z chwil się składa. Życie więc nasze jest to waza pończu.

2) Jako nie zwracamy baczenia na uraniające się od czasu do czasu złote kropelki pończu, podobnież nie zwracamy go i na upływające chwile życia. Życie więc nasze niknie jako pończ.

3) Lecz gdy ku wielkiemu, zmartwieniu pijących, zostanie wypróżnioną waza, powiadamy wówczas żałośnie: że waza pończu została wypitą. Podobnież, gdy dosyć znaczny przeciąg czasu upły-

nie, postrzeżemy się ze smutkiem, żeśmy widocznie postarzeli, powiadamy, żeśmy rok przeżyli.

Cóżkolwiek bądź, rok 1834 wprowadzi do wieczności swoje dwanaście miesięcy, nie obciążone przekleństwami ziemi, podobnie jak dobry i ludzki dowódzca wyprowadza z zimowych leż swój oddział, nie obciążony skargami biédnych wieśniaków. A więc nieboszczyk rok był dobrym jak i wszystkie *nieboszczyki*. Nie mówię aby miał być najlepszym z nieboszczyków, bo pożegnanie, nie może sobie przywłaszczać stylu mowy pogrzebowéj.

Wam! którzy się poczuwacie.

Zbawiennem byłoby narzędzie, za pomocą którego mógłby się przekonać człowiek, czy się urodził, lub nie, poetą? Ileżby się przez to oszczędziło czasu, papieru! Ilu balladami, odami, i sonettami świat byłby czystszym! Ilu pilniejszych uczniów mielibyśmy w uniwersytetach! Ilużby pleśni pozbyła po-

ezija! Ileżby się jéj wróciło dawnéj chwały!

Ale to tylko pozostaje do życzenia!

Nim je spełni matka wynalazków Brytanija (na stałym bowiem lądzie od dawna już nic nowego pod słońcem) oto są niektóre postrzeżenia, mające pewność rachunkową, i mogące posłużyć ku zbawiennemu pożytkowi, moich spółbraci w Febie, poetów-bazgraczy.

Naprzód: Zapewne czytelnik dostrzegł już we mnie téj poetycznéj ułomności, iż nie mogę się obejść bez naprzód, powtóre i potrzecie.

1) Jeżeli młody poeta, zaczął swój zawód od powinszowań rodzicóm na Boże Narodzenie, Nowy Rok, lub Wielkanoc, jeżeli te powinszowania były bardzo chwalone od całego domu, i okazywane wszystkim gościom, zły to jest

znak, pomieniony poeta urodził się pod nieszczęsną gwiazdą.

2) Jeżeli przypomina sobie iż najpiérwsze jego rapsodije były pisane krédą lub węglem po ścianach, w podobnym tonie jak np. *Ja to piszę dla zabawy* i t. d. pomieniony poeta może być pewnym iż wziął się nie do swego. Stworzonym on jest na mentora szkółki parafijalnéj, powiatowego lekarza lub komornika.

3) Jeżeli w szkołach zaostrzał swój dowcip kosztem towarzyszów, gospodyni, P. domowego dozórcy, lub prefekta, pomienionego poetę satyryka czeka smutne przeznaczenie. Im więcéj będzie miał talentu, tém będzie nieszczęśliwszym. Niech bierze przykład z poetów satyryczno-epigrammatycznych, jakiémi byli J. J. Rousseau i nasz uszczypliwéj pamięci Kajetan Węgierski.

4) Jeżeli ukończywszy szkoły, wywiózł z sobą gruby sposzyt tak nazwanych *textów światowych* i krakowiaków, pomieniony poeta powinien niezwłócznie zaciągnąć się do wojska, lub zostać pisarzem prowentowym.

5) Jeżeli w wiérszach pisanych do najpiérwszéj kochanki, znajdowały się zwrótki w gotowiznie pożyczone u Karpińskiego, rzekomy poeta i na starość żywić się będzie około poetów pożywniejszéj treści, jak *np.* Goethe Szyller i t. p.

6) Jeżeli się już zarzekał pisania wiérszy, lecz potém dał się uwieść, jak powiada, natchnieniu, pomieniony poeta ma natychmiast opuścić swoje rzemiosło, i wystrzegać się bacznie aby nie został pijakiem.

7) Jeżeli czytając Krasickiego, potrząsa sobie głową i myśli w duchu: nic

tu osobliwego! pomieniony poeta powinien doświadczyć: azali nie ma daru do malarstwa, snycerstwa, lub do którejkolwiek innéj ze sztuk wyzwolonych.

8) Jeżeli czuje w sobie nadzwyczajną słabość do końcówek, nakręca do nich całe wiérsze, lub dla ich miłości, gotów jest odmienić zamiar, z jakim siadł do pisania, wyżéj wzmiankowany poeta lepiéj zrobi gdy pojmie żonę, lub przyłoży się do metafizyki.

Nos.

Przyrodzenie dało nos człowiekowi, a więc to nie do ladajakich celów. Nos jest to *rękojeść* dla dobréj małżonki... Lecz porzućmy żarty, które dla wielu mogą się wydać tém niewcześniejszémi, iż wkraczają do zakazanéj krainy prawdy. Patrzmy na nos z innéj strony. On jest tak wydatny! pod tylą kątami uważanym być może!

Gdy patrzycie na cienie w panoramie, lub na aktorów zwolna wysuwających się z zakulissy, co się wam naprzód ukazuje? Nos zaiste! Wiém że takbyście mi odpowiedzieli, chociażby tu nawet i nie było mowy o nosie.

Tak! nos! Jest to igła magnetyczna, ubezpieczająca bieg okrętu. Jest to kozak przodem wysłany na zwiady! Jest to żóraw przewodnik stada!

Lecz ileż to przykrości i niebezpieczeństw, musi pokonywać co chwila ta przednia straż nasza? *Wścibić nos wszędy,* przysłowie to jest nader drogo przezeń kupioném.

Wiecznie wiszący nad gębą, jak domowy dozórca nad swoim pupillem, lub jak celnik nad żydowską bryką, musi on zajrzéć do każdéj łyżki wchodzącéj do gęby, zdaje się tylko czyhać na kontrabandę, i jak celnik nieraz przypłaca

swojéj gorliwości!.. Ileż to jest takich rzeczy na świecie, które bezpośrednio tyczą się jednego tylko nosa! Ileż drobnych umartwień, ile niespodzianych zniewag! I potrzeba je znieść w milczeniu!...

Nos jest główną kwaterą dumy i drażliwości człowieka, dla tego też można go uważać za termometr naszéj pomyślności. Za dobréj chwili podnosi się on tak raptownie i wysoko, że go *ani krukiem nie dostać;* w złéj dobie również gwałtownie *spada na kwintę.*

Za to ilekroć piastuje okulary, lub zażywa tabakę: znać to iż on jest królem oblicza. Oto się nastraja do kichnienia! Nie traćcie chwili: Wiwat! Setnych lat! Pomyślności!—

Nos po kichnieniu, jest to poeta przytomny wystawie swéj sztuki na teatrze. Patrzcie jak się zaczerwienił! Uręczam

was, że to nie ze wstydu. Jest to rumieniec zadowolnienia, uczucie szczęścia, jakiego można tylko kosztować zażywszy tabaki, lub będąc poetą.

Nos jest sędzią ostatecznym i nieodwołanym w sprawach powonienia. Oto stoją pokornie przed jego majestatem: wazon róży, flaszeczka wody kolońskiéj, dwa słoiki pomady, i kucharz nie pijący wódki od urodzenia. Straszliwy sędzia zbliża się i sądzi niemylnie, zdaleka, magnetycznie.

Lecz czémże są wszystkie cuda magnetyzmu, w porównanie do cudów wyćwiczonego miejskiego nosa? O sto kroków od domu, on nam powiedzieć może co się dzieje w jego kuchni? Ciekawość dla dowiedzenia się o tém potrzebowałaby najmniéj cztérdziestu sposobów!

Słusznie zatém twierdzić można, iż

nos jest cudotworną, upodobaną świątynią duszy.

On ojcem wielu nieocenionych dla ludzkości wynalazków. Ograniczmy się najnowszym, najważniejszym. Nos odkrył siedlisko *prawdy*.

Ona nie na dnie studni, jak dawniéj rozumiano, ani w winie, jak mniemali późniejsi; prawda przebywa teraz w porterze.

Zewsząd wygnana, lecz wierna swojemu przeznaczeniu, obrała sobie nakoniec to schronienie, aby choć tym sposobem *w nos nam bić* mogła. Ale nos zbadał tajemnicę, i dzięki temu wielkiemu odkryciu, miłość prawdy staje się od dnia do dnia powszechniejszą.

Oko.

Jeślibyśmy znali niemylną miarę, podług któréj sądzić należy o dziełach stworzenia, rozbierając każde z nich zosobna, nie moglibyśmy się odjąć najsłodszemu uniesieniu, i pomimowolnie powtarzalibyśmy słowa, które Mojżesz przypisuje Bogu: *Wszystko jest dobrém!* Weźmy za przykład oko. Lecz cóż o niém powiedzieć można więcéj,

i lepiéj od Biuffona? Jakąż drugą u wagę tak prostą i głęboką wyciągnąć zeń można jak wyciągnął Złotousty: „iż „ten co stworzył oko, sam bez wątpie„nia widzi wszystko.”

Jakże płaskiém obok tego wydać się musi postrzeżenie, które zapisuję dla tego tylko, iż przez dziecinną miłość własną, wyobrażam sobie, jakobym piérwszy wpadł na nie! Zda mi się że Twórcy podobało się umieścić oczy w ten sposób, iżby nie mogły bezpośrednie widzieć twarzy, dla tego, abyśmy nie byli próżniejszémi jeszcze, aniżeli jesteśmy.

Oprócz nieskończenie podwyższonego zaślepienia miłości własnéj, któremuby natenczas obie płci podlegały zarówno, odmienne położenie oka, stałoby się jeszcze powodem wielu smutnych przypadków. Świat byłby pełen roztargnio-

nych i kaleków. Nie jeden fircyk utopiwszy wzrok i myśli w świéżo nabytych wąsikach, potknąćby się musiał o kamień, i stłukłby na bruku nos i okulary. Nie jedna piękność wpatrując się w swój zwycięzki uśmiéch, lub w nieostróżnie uchyloną zmarszczkę na twarzy, webrnęłaby do rynsztoku i powalałaby sobie różowe ze złotémi kokardami trzewiki.

Nie jeden uczony zapatrzyłby się na swoje wysokie obiecujące czoło, i zostałby wznak wywróconym, o nieba! od istoty, która nawet nie umié czytać... od... (podobnie jak Józef Skaliger) od... prosięcia. Nie jeden bohatér dziwiąc się obłękowi swojego greckiego nosa, potrąciłby króbkę, i popsułby towar przekupce; sam nawzajem potrącony, pobity. Biédny urzędnik, widziałby ustawicznie kilkanaście nosów jak na dło-

ni; szuler czytałby na swojéj twarzy, każdy świéżo odebrany policzek. Amelija nie spuszczałaby oka ze swojéj fatalnéj brodawki. Zrospaczona Pani Z. Z. widziałaby własnémi oczyma, bujną gugę, codzień szkaradniéj podrastającą na nosie!

Cóż mówić dopiéro o milijonach starych panien, o krzywoustych, beznosych, płonących jednak ogniem najczystszéj miłości kochankach? Zda mi się że widzę same tylko stryczki, trucizny, topiele, szpady, noże, pistolety, wszystkie przejmujące drżeniem narzędzia samobójstwa.

Herbata.

Herbata wyraża najlepiéj myśl naszego wieku. Jest to coś omdlałego, bladożółto-zielonawego, romantycznego, półcierpkiego, półsłodkiego, eterycznego! jest to jedném słowem poezija nowoczesna. Ileż tu wyższości od nudnéj klassycznéj kawy!

Jeden z najpiękniejszych greckich mytów, widzimy dziś urzeczywiśnionym

w każdym prawie domu, zacząwszy od dwóch kominów.

Gospodyni rozlewająca herbatę nie jest-że to Hebe? Nie wiém czy wymyślono osobny ubior *à la Hébé!* Jeśli nie jeszcze, modniarki nie pojęły widać poezji herbaty.

Godzina herbaty, jaka szczęśliwa godzina dla poety i malarza! Chce-li on wydać piękność w całéj potędze i chwale?—niech przedstawi siedzącą za stolikiem, i wskazującą z majestatycznym uśmiéchem, na wyzłacane, pełne złotego napoju filiżanki.

Chce-li malować ludzi, trochę śmiesznych, dziwacznych, niedoskonałych; zwyczajnie ludzi: niech skréśli osoby przystępujące do zaczarowanego stolika.

Oto Hrabina L. bierze i podnosi do ust swą filiżankę. Patrzcie jaki mister-

ny łuczek zakréśliła noskiem! Hrabina w domu tylko pije dobrą herbatę.

Gospodyni patrząca całkiem w inną stronę widzi ten wiele znaczący zygzak, poprzysięga w swém sercu najświetniejszą zemstę, i odpowiada uprzejmym uśmiéchem na zwyczajne zaklęcia P. Majora, iż piérwszy raz w życiu pije tak dobrą herbatę.

Tuż przy tacy z butelkami soków, syropów, romu i wina, siedzi pospolicie gospodarz, z cierpliwością chemiczną ustawicznie dolewa i mięsza, i kosztuje, i znowu dolewa i mięsza.

Siedzący przy nim Pan Sędzia graniczny, przypatruje się temu doświadczeniu i serdeczném uczęstnictwem, opowiada o świéżo agitującéj się exdywizji *in fundo N*, zapomina się, w pomimowolnym zapale ściąga rękę do butelki, zawadza łokciem o szkłankę, i

rozciek wyparty przez Exdywizora ze stanu spokojności, bardzo naturalnie rozlewa się na serwetę i na frak exdywizorski tabaczkowy. Języki widzów czując się ściśnionémi dwóma rzędami zębów, wydają tylko przez szczeliny jakiś syk wesoły, dzieci parskają ze śmiechu, mówca się zacina, dobywa chustki czerwonéj w kratki, doznaje w sobie coś podobnego do zapomnianego uczucia wstydu, chce przepraszać gospodynię i w tejże saméj chwili przychodzi mu myśl wątpliwa: azali się nie zarumienił? azali nie zhańbił swojéj osoby i urzędu?

Na inném płótnie znowu stolik z herbatą. Amelija podaje filiżankę przez się *zrobioną* Edwardowi. Kochankowie, herbata z romem, domyślne wyobraże-

nia miłości, niewczasu; możeż być co poetyczniejszego?

Nieco daléj znowu stólik z herbatą. Za stolikiem nie Amelija, lecz moja ciotka Pani Barbara. Samowar przedstawia widok wybuchającego Wezuwijuszu, poddmuchujący go lokaje, mogą się porównać do starożytnych cyklopów. Stryj mój z gazetami w ręku, jak Plinijusz stary, czeka niecierpliwie polania się lawy. Pani Barbara na wielkiém krześle z poręczami, zżyma się jak Pytonissa na trojnogu. Woda pomimo nadlokajskich usiłowań nie chce zakipiéć. Chmury się zbierają. Cyklopy drżą z przeczucia.

Daléj szesnastu oficerów, piją z dwóch porysowanych szklanek jakiś rozciek bezimiennego smaku i koloru. Każdy

trzyma w ręku sentymentalny kawałeczek cukru. Rzecz dzieje się w polu. Wokoło bębny, działa, skrzyżowane karabiny. Jest to wojenna poezija herbaty.

Jeszcze daléj w malutkiéj od roku nie zamiatanéj izdebce na poddaszu, stoi sobie skromnie na talerzu, blaszany imbryczek, szklanka z żółtą mosiężną łyżeczką i cukier zawinięty w papiérku. Jest to śniadanie, wieczerza, niekiedy nawet i cały obiad literata.

Daléj kommisarz pijący herbatę i słuchający miesięcznego sprawozdania ekonomów.

Daléj ekonom z tłustą połowicą piją herbatę z naléwką i słuchają doniesień wójtów.

Daléj przekupka nad garnkiem *zbi-*

teniu, w skrzydlanéj chmurze much, os, pszczół i trzmielów. Jest to poczija ludu prostego.

Pończ morski z wody i romu jest to Szekspir. Herbata w cukierniach tak jest drogą, że przez zemstę nazwę ją klassyczną, porównam do wydania Wirgilijusza przez Hejne.

Sława Chinóm! I cóż porównać się może z ich papiérem, alfabetem, herbatą i porcellaną?

Jaka niewdzięczność! pić dwa razy na dzień herbatę, i nie wierzyć iż Chiny są narodem najmędrszym i najdawniejszym w świecie!

Zemsta.

Było to dawno, dawno, jeszczem miewał sny czysto naukowe.

W on szczęśliwy czas graliśmy pewnego razu z Panną Matyldą B. w Marijasza.

Panna B. lubo Matylda, całe jednak nie była podobną ani do sławnéj Hrabini Matyldy, która swym darem zbogaciła państwo kościelne, ani do pię-

knéj Matyldy z czasów wojen krzyżowych, któréj przypadki z Malek-Adelem dotąd są tylu ścian ozdobą.

Była to sobie prosto stara Panna Matylda, która, jak wszystkie stare Panny, grała mocno w Marijasza, i nie ulękłaby się, jak mniemam, nawet pędzla Rafaela, lecz czy i Rafael także?—za to ręczyć nie śmiém.

Zdarzyło się, że w trzeciéj grze z kolei, strona przeciwna dostała cztérdzieści Marijasza i pogroziła mi suchą.

—„Najmiléj mi będzie wziąść suchę z rąk Pani.” Tak mi należało odpowiedzieć na tę pogróżkę, jak potém wyczytałem w niemieckim *Conversations-Lexykonie*.

Alem ja wtenczas nie czytał jeszcze po niemiecku.

Odpowiedziałem (płonię się i teraz na

samo wspomnienie mojéj nierostropności) że—„jeśliby nawet do cztérdziestu Marijasza, dodała Panna Matylda swoje piękne latka, to i tak dać mi suchéj nie potrafi."

Trudno było plusnąć słówkiem niedorzeczniejszém! Prawda żem miał dobrą kartę, i że powątpiewałem jeszcze wtedy o téj wielkiéj ustawie księgi życia: iż nie należy mówić cierpkiéj prawdy nikomu, nawet istotóm najobojętniejszym w świecie!

W rok potém dano mi do przeczytania następujący dodatek w testamencie Panny Matyldy B.—Nie potrzebną zda mi się rzeczą dodawać, że w Bogu zeszła Panna umarła z suchot.

„Przeznaczone dla Witalisa 100 „dukatów przenoszę na rzecz klasztoru „OO. Bernardynów. P. Witalis, cho-

„ciaż Kandydat Filozofji, zbyt mało ma „przyrodzonego rozsądku, aby mógł „rozporządzić tą summą."

Póty są słowa testamentu!!!

Logika.

Nieraz zajęty szlachetną chęcią przysłużenia się mojéj najmilszéj nauce: *Logice*, chodzę zatopiony w myślach po pokoju, *pstrykam* palcami, mówiąc technicznie, i usiłuję doszpiegować: jakim sposobem rodzą się i następują po sobie myśli?

Taka podówczas wewnątrz i zewnątrz

mię cisza, że dostrzegłbym przybycia anioła.

Przemieniam się cały w sto-uszatę uwagę, patrzę széroko rozwartémi oczyma duszy, słucham z największém natężeniem, słucham, i nic więcéj nie słyszę, oprócz bitwy palców, i głuchego jęku podłogi, wiecznie uskarżającéj się na podeptane swe prawa.

Więc rozgniewany na płochość mojéj uwagi, i na te drobne pokusy, odwodzące ją od celu, usiadam w krześle, zamrużam oczy, staję się nieruchomym, i postanawiam skierować myśl moją jedynie do niéj saméj.

Lecz zaledwo postanowienie zostało dokonaném, gdy oto istne Rusałki! stawią się przedemną roje różnorodnych fraszek. Fajka, bifszteks, dzwonkowy tuz z pieczątką, zając widziany przed kilką dniami, i jakieś błękitne oczy,

wabią i już zwabiły myśl moją ku sobie.

Źle jest myśléć z zamkniętémi oczyma! Więc je otwiéram, i zwodnicze widziadła nikną jak mgliste pary przed słońcem. Miejsce ich zastępują rozmyślania poważne: o nieszczęśliwéj zawisłości duszy od wrażeń zewnętrznych, o wiecznéj walce ducha z ciałem, ideału z rzeczywistością i—o wielkiéj kosmatéj musze bujającéj pod samym sufitem.

—Tfu! jakiżem głupi! zwykłem mawiać w téj chwili, obyczajem mojego powiatu. Brzęk téj nikczemnéj muchy, odwiodł mię od pomysłów godnych Platona!... Czémże jest człowiek?..

Po tém zapytaniu, głowa zwyczajnie poczyna kołysać się zlekka w kierunku pionowym, prawa noga poczyna wybijać półtakciki na podłodze, a myśli gdzie

raczą się obracać? nie pytajcie o to! bo moja odpowiedź mogłaby zaciemnić najjaśniejszy z traktatów: o *powinowactwie wyobrażeń.*

Logiko! boska nauko! wskaż mi sposob panowania nad myślami, podaj przepisy, jakby można najskuteczniéj odradzić ciału aby się nie nastręczało ze swoją pomocą do myślenia, a obiecując ślubem nieobłudnym, wyśledzić początek myśli, wykazać ich koleje, i udowodnić dotykalnie: że dusza myśli jedynie z łaski pięciu zmysłów, że nawzajem te pięć zmysłów działają jedynie z łaski duszy, że myśli rodzą się w powitku wyrazów, to jest: że każda myśl powiedziana czy nie powiedziana, nie może powstać w głowie bez godowéj szaty wyrazów, że nawzajem wyrazy są skutkiem i wyrobem myśli, że prawidła myślenia są stałe, określone,

niezmienne, i że pomimo to wszystko, nie może być nic bardziéj niedorzecznego, niepodobnego, bardziéj godnego śmiechu nad te dwa wyrazy: *Nauka myślenia!*

Logiko! kto cię nazwał nauką? kto ci powiedział żeś już wyszła z małoletności i dzieciństwa? Ty zależysz i wiecznie zależéć będziesz od historji, a historija człowieka, pozostanie na zawsze bałamutnym zbiorem pamiętników!

Pojednanie.

—Droga Elizo! Dość już się stało dla świata, i jego nieludzkich, nierozsądnych ustaw. Powróć mi twoją przyjaźń!

—Ach Marijo! nie uwierzysz ile mię cieszy i upokarza ten piérwszy krok z twojéj strony. Luba przyjaciółko! Zamknijmy usta obmowie. Nie dozwa-

lajmy jéj nadal okrutnéj naszym kosztem rozrywki.

Tu się rozległ pocałunek, wtóry od czasów Judasza.

Tegoż samego wieczora, dwie piękne przyjaciółki, (uważcie jak fałszywe wyrażenia zakradły się do mowy ludzkiéj! Uważcie tylko *piękne przyjaciółki!* jak gdyby to być mogło?) dwie pojednane przyjaciółki, zajmowały jedną lożę w teatrze.

Marija miała na głowie prześlicznie robione kwiaty, które dniem przedtém otrzymała z Paryża. Eliza była w błękitnym kaszemirowym szalu, nadesłanym jéj wprost z Niższego Nowogrodu.

Świadome przeszłego ich poróżnienia mężatki i panny, już przesyłały sobie z loży do loży znaczące migi, spójrzenia ubolewające, wzruszenia ramion, i jakieś skinienia głową w żadnym dotąd

nie opisane słowniku; już w złośliwych szeptach, wyrażały swe podziwienie z powodu téj nagłéj zgody, paryzkich kwiatów i Kaszemiru.

Młodzi mężczyzni, przedtém na dwa podzieleni hufce, lub przesyłający tylko ukradkowe ukłony do jednéj z dwójga loż wojujących, tą razą łącznie wymierzyli lornety i salutowali niémi sprzymierzone piękności.

Nieźmiernie ważne pytanie roztrząsaném było w téj chwili na parterze: czy gniew, czy pojednanie bardziéj przypada do twarzy pięknym kobiétom?

Pomiędzy piérwszym a drugim aktem, Marija wstępowała do loży Marszałkowéj X. Elizę nawiedziła tymczasem Pani Z.

Nagle nie wiedzieć jakim sposobem, dało się słyszéć: że Eliza piérwsza prze-

praszała Mariję uroczyście, przy świadkach, i ze łzami przez dwie godziny.

W pogoń za tą wieścią przemknęła druga, że mniemane paryzkie kwiaty Marji były roboty tutejszych artystek modniarstwa.

W trzecim akcie pustą już była loża pojednanych.

Radość jaśniała we wszystkich pięknych oczach, chociaż przedstawiano nader tkliwą dramę.

Lornety wisiały bezczynnie, posępnie, jak kwiaty po nagłéj burzy. Nawet poważne okulary zaćmiły się lekką parą rozrzewnienia. Stało się to w pół do jedénastéj, we trzy godziny i kwadrans od pocałowania zgody.

K i j.

Godne użalenia ubóstwo mowy ludzkiéj! I cóż jest mieć kilkanaście tysięcy wyrazów na milijony przedmiotów, myśli i potrzeb! Stąd też i mowa nasza musi być podobną do pracy zecera, rozbiérającego jeden szerek głosek dla ułożenia zeń następującego, musi być podobną do algebraicznego rachunku, gdzie nieskończone ilości wyrażają się jedną głoską.

Cóż to jest *np.* ten kij, którym się teraz podpieram? Jest-że to toż samo co prosta gałąź od pnia odcięta i jakokolwiek okrzesana? Nie! jest to pomoc, bez któréj moja lewa noga nie mogłaby w téj chwili odbywać swojéj powinności.

Na takim kiju niegdyś uwijałem się wszędy, nazywałem go moim koniem, i nieraz nie szczędząc dlań razów, chłostałem siebie samego aż do czerwoności. Nie takim-że samym kijem bronię się od psów napadniony? Nie takim-że oracz przynagla wołu? a zbójca, o straszna myśli! zabija człowieka? Widzicie go w ręku najlichszych nędzarzy i największych panów. On nieodbita zabawka dziecinna, i nieodbity sprzęt starości. On był niegdyś przedmiotem i pożądaną nagrodą pieśni, on nieraz także zamyka usta śpiewakóm. On to u-

pewnia kroki ślepego, on to widziany w obcym ręku, hamuje szlachetny zapał uniesionego mówcy. Jedno jego podniesienie, jak wzrok Meduzy, przywodzi do oniemiałości. Jakakolwiek liczba dziesiętna, do niego dodana, przejmuje strachem. A jednak on jest podporą w podróży, otuchą przy boku, pomocą w słabości, i niestety! nieraz przyczyną słabości!

Cóż więc jest ten kij? niech mi kto odpowie?

Muzyka i Deklamacija.

Co za niewysławiona rozmaitość tonów i modulacij w ludzkiéj piersi! Ona to pokrywa wszystkie niedostatki mowy, i wystarczyłaby nam chociażbyśmy mieli jeszcze drugie tyle wyobrażeń i potrzeb. Każdy wyraz może się odrodzić i przeistoczyć tysiąc razy w ustach człowieka; a więc ogół naszych wyrazów śmiało pomnożyć możemy przez liczbę tysiąc.

Weźcie narzędzie muzyczne, na którego udoskonalenie wszystkie swoje sposoby wytężyła sztuka, porównajcie je z głosem ludzkim. Będzie to tak, jak gdybyście porównali piękny krajobraz oddany na papierze lub płótnie, z żywém malowidłem łąk, przerzynanych strumieńmi, i ocienionych gajami.

Wiele bez wątpienia, słodkich, czarujących tonów, umie wywabić ręka ludzka z narzędzi muzycznych, lecz głos uczłonkowany tę ma niezaprzeczoną wyższość, iż mogąc naśladować wszystkie kunsztowne dźwięki, w wielu razach sam jest nienaśladownym. Któreż z narzędzi muzycznych może wydołać pieniom człowieka.

Ale nie mówmy o śpiewie, nie wyzywajmy rąk ludzkich na walkę przywodzącą je do rospaczy! Ograniczmy się skromniejszém żądaniem—deklama-

ciją. Niech *z jednéj strony* stanie najpotężniejszy czarnoksiężnik muzyczny, ten zmartwychwstały *Pinetti, Paganini!* Oddajmy mu do wyboru wszystkie jego narzędzia, dozwólmy mu połączyć wszystkie siły, wszystkie czarodziejskie sprężyny muzyki, nie brońmy mu czasu do ćwiczenia się, czekajmy chwili natchnienia, położmy tysiące funtów szterlingów, które mają tyle dla niego powabu, i gdy nam oświadczy że jest gotów; postawmy *z drugiéj strony* piękną dziewicę jakiegokolwiek kraju, jakiegokolwiek, choćby okrzyczanego za najtwardszy języka. Niech ta dziewica przepowie kilka wiérszy, w jakimkolwiek rodzaju, jakkolwiek wykraczających przeciw prawidłom wiérszowania, byleby tylko je pojęła, byleby przymus i chęć popisu nie skaziły jeszcze jéj serca, byleby nikt jeszcze nie powiedział

jéj tego, iż ma głos ujmujący. Dla natchnienia niech się znajduje w kole słuchaczy jéj ukochany! Niech powie te kilka wiérszy, a wtedy.... lecz jeszcze jeden warunek! kobiéty wyłączmy z grona sędziów!

Teraz już niech wystąpi *Paganini* w całéj swojéj chwale i potędze, niech nam da jéj dowody! Słuchajmy! Sądźmy! Uciszcie się!

Lecz któż to tam tak skwapliwie przedziera się przez tłumy w prostym do drzwi kierunku? To on sam! To *Paganini!*

—Wstrzymaj się boski Artysto! Cztéry tysiące szterlingów! zawołało pięćdziesiąt głosów.

— Mistrzu! pomnij na losy Marsijasza—odezwał się głos jakiś z tłumu.

Spójniki.

Spójniki są tém prawie, czém podpisywane samogłoski w językach wschodnich. Jest to wymysł szkolny, dobry dla dzieci, lecz uciążliwy dla ludzi dojrzałych, przeszkadzający nawet doskonaleniu się mowy ludzkiéj.

Ileż to nieraz czasu stracić musi człowiek uczony nad tą marną krawiecką robotą, nad tém fastrygowaniem myśli i okresów! Jak gdyby na tém istota dobrego stylu zależała!

Wszakże prawdziwa przyjaźń nic nie działa dla zewnętrznego okazu. Podobnież i przyjaźń pomiędzy myślami, ich pobratymczy związek powinny-by być wewnętrzne.

Na co pytam zdadzą te długie przystępy, te śmieszne skradania się, te usławiania przysadne, ażeby przeskok z jednego do drugiego okresu nie był widocznym? Biédne głowy! Wy nic nie chcecie zostawić domysłowi czytelników! Dobroduszne pismienniki! Wy to czynicie w celu ulżenia im pracy! Nie pojmujecież niebaczni! iż tego czasu, któregoście im oszczędzili, użyją oni na tém surowszy sąd o was samych!

Dozwalamy mówić wsciąż gadatliwemu, robimy dlań ofiarę z naszéj miłości własnéj, lecz biada mu gdy się rychło nie postrzeże, lub gdy nam płaci za naszą cierpliwość bredniami. Nie

po tysiąc razy wtenczas nazwiémy go w sercu nudnym gadułą, nieznośnym głupcem.

Zostawując więc ten masoretyczny wynalazek uczonym *ex professo*, czyliby nie można było pisać i drukować dla uczonych, oddzielnych ksiąg bez spójników?

Tak myślał niegdyś, trzymając się za brodę, sławnéj pamięci *Aaron ben Chaim*, który lubo w swoich głębokich pismach używał spójników, czynił to wszakże dla tego jedynie, iż jak powiadał: na powagę rabina *starego* zakonu nie przystało wymyślać *nowości!*

N o l i m e t a n g e r e!

Słowem, że biada zawsze z temi pannami! I młode i stare jest to czysty kwiat. *Noli me tangere!* Lecz czylim tylko dobrze porównał?...

No! pół biédy! Porównanie stosowne, przynajmniéj jak do wczorajszego mojego zdarzenia. Rozmawiałem z Panną T., która ilekroć mówi o osobach lub wypadkach z wieku XVIII, najczęściéj używa słowa: *widziałam.*

Była mowa o wzroku, jam chlubił się z mego. —„Gdy Pan będziesz w moim wieku"... rzekła mi, zapewne w pomimowolném zapomnieniu, Panna T. —„O! nie! nie! przerwałem, nie spodziewam się doczekać tak pięknego wieku!" Odpowiedź moja była bez zamiaru uszczypnienia, i byłaby przyjętą za dobrą monetę, jeśliby przytomna naszéj rozmowie Pani Z. nie zrobiła uwagi: *iż to jest całe grzecznie z mojéj strony.*

Wtenczas wszystkie pretensije panieńskiego stanu, uśpione dotąd, obudziły się, jak dziki lew, lub sumienie zbrodniarza, straszliwém obudzeniem. Obrażona etykieta francuzka, już miała sypnąć na mnie wszystkie obelgi znane na dworze Ludwika XVIII, już już rozsznurowywały się blado-różowe usta; gdy w tém natchnęło mię niebo

abym powiedział: iż tylko zawiść lub złośliwość mogły podać Pani. Z. podobną uwagę. Słów tych skutek był czarnoksięzki. Wzburzone marszczki, jak fale wodne, malały i gładziły się powoli; gąbkę namyśliła się zamknąć, chociaż nie bez żalu, i potok obelg, który się już był wymknął z krtani, i już już miał się wylać, niszcząc wszystko po drodze, cofnął się wstecz do swego źródła. Głośne przełknięcie, które się dało słyszéć w téj chwili, zwiastowało mi: iż Panna T. już mówić nie będzie. Odetchnąłem, i wytrzymawszy chwilę, aby mój odwrót nie został nazwanym ucieczką, wyniosłem się z pokoju.

Filologija.

Nie wiém dla czego mielibyśmy się tak bardzo dziwić Mnemnonom: Senekom, Mitrydatom, Xenofontom, i innym nadzwyczajnéj pamięci ludziom starożytnym? Za dni naszych, każdy chodzący około nauk, umie zapewne więcéj aniżeli dziesięć tysięcy słów cudzoziemskich. A dziesięć tysięcy słów trudniéj bez wątpienia przychodzi spamiętać, aniżeli

Xenofontowi przyszło spamiętać dziesięć tysięcy mężów, chociaż w téj liczbie, przynajmniéj trzecia część być musiała imion jednostajnych.

—Tém trudniéj było, mówicie, rozróżnić wodzowi greckiemu jednoimiennych!—

Tak! a zapominacież jaką mogły być pomocą różno-wzore wąsy i brody, różno-kształtne nosy, blizny, i kąty twarzy, różno-kolorowe oczy, rozmaity wzrost, postawa i t. d.? Któryż ze sposobów dzisiejszéj mnemoniki jest równie dzielnym i łatwym? Któraż z tylu ksiąg przyrzekających nauczyć jakiegobądź języka w przeciągu miesiąca, zawiera metodę, równie jasną i niewątpliwą?

Smutna nasza dola, o spółbracia moi, w dziewiętnastym wieku żyjący! Prawda i wielka prawda! iż przodkowie

nasi wypili piwo, a nam zostawili drożdże! Im dawniéj, tém było szczęśliwiéj, tém mniéj wiedziano, tém mniéj trzeba się było uczyć, tém mniéj było języków, grammatyk, słowników, szkół, i t. d.

A wiecież dla czego dawniéj ludzie, tak byli długowieczni?

Odpowiecie mi zapewne:— dla tego, że prowadzili życie bliższe przyrodzenia; że nie jadali mięsa, nie używali mocnych napojów, nie nadużywali....

— Cyt! cyt! Nic nie wiecie; zupełnie nie dla tego!

Oto dla tego: że nie czytali ani gazet, ani dzienników, ani tych przeklętych romansów angielskich i nie angielskich, francuzkich i nie francuzkich, amerykańskich i nie amerykańskich, dla tego, że nie było ani Waltera—Skotta, ani Balzaka, ani Żanena, ani Nodije, ani

Michała Rajmunda, ani Kupera, ani Waszyngtona, ani Ameryki.

Lecz czasy się odmieniły. Nieumiejętność zerwała przyjaźń ze szlachectwem, podobno już na zawsze. Trzeba czytać! trzeba się uczyć! trzeba pamiętać każdy dzień przydający zmarszczkę światu, każde czémkolwiek wsławione miejsce, każdy nowy wynalazek, każdego cesarza, króla, bohatéra, uczonego, muszkę, kwiatek i t. p. Każdy dziś z nas, więcéj nazwisk umie na pamięć, niżeli zawołany Xenofont.

To nas zmiata przed czasem z tego padołu płaczu. Mamy na swojéj głowie, ciężką kilku tysięcy lat historiję, a do jéj dźwigania tęż samą zawsze pamięć, jaka i przed wieki była u ludzi. Chcąc utrzymać chwałę wieku, dręczymy biédną władzę, natężamy, wysilamy, i obciążeni niewdzięcznem brzemie-

niem słów, wpadamy w chciwe i zimne ręce potomności.

Są ludzie, którzy dwadzieściakroć, i każdą razą inaczéj, jednę rzecz nazwać mogą. Co to za wielcy i uczeni ludzie! Są to żyjące kallejdoskopy, żyjące wieże babilońskie!

Prawda, że na téj nauce stargali oni siły i zdrowie, lecz przysłużyli się ludzkości, lecz pozyskali wieczną sławę, lecz przy zgonie będą mogli dwadzieściakroć powiedzieć, z równém jak *Dumarsais* przekonaniem: *„Je vais, ou „je va mourir, l'un et l'autre se dit."*

Przyrodzona różnica stanów.

Pan X. X. Sędzia graniczny powiatu upsalskiego, zabity szlachcic, wielki *cytator* Niesieckiego, Paprockiego i Duńczewskiego dowodzi nader dowcipnie przyrodzonéj różnicy stanów, z uwag wyciągniętych nad budową naszego ciała.

— Patrzcie tylko sobie Waspaństwo Dobrodzieje! zwykł zaczynać Pan Sędzia:

Te nogi, uginające się pod swoim ciężarem, opatrzone grubą podeszwą, przykute do ziemi, nie są-li to chłopy? Te ręce wykręcające się z taką łatwością na wszystkie strony, zakończone chwytną garścią, i uzbrojone ostrémi pazurami, nie jest-li to wierny obraz stanu sławetnego?

A tenże łaskawie na nogach spoczywający żołądek, obwinięty litym pasem, podobnie jak głowa jakiego Baszy, przeznaczony do słodkiéj, niewinnéj bezczynności, zarówno daleki od niewolniczéj rąk i nog pracy jak i od mozolnych rozmyślań głowy, doskonale okrągły i zadowolniony z siebie samego, nie przedstawiaż wam oczywiście drogocennego szlacheckiego klejnotu? Zdałoby się, że nic już doskonalszego boska nawet prawica utworzyć nie potrafi. Wszelako podobało się Bogu obdarzyć

jeszcze człowieka duszą i zbudować dla niéj oddzielny przybytek. Stało się! i odtąd głowa jest znamieniem naczelnictwa.

—A tak widzicie sobie Waspaństwo Dobrodzieje! zwykł kończyć P. Sędzia, iz różnica stanów z natury rzeczy wynika.

Wiosna.

Niéma *żyjątka*, iż użyję wyrazu Trembeckiego, które-by nie czuło powabów wiosny. Wszystko w téj porze roku jest weselszém, lepszém, nawet sam człowiek. Lecz raz tylko jeden, jeden raz tylko, przemawia do nas przyrodzenie przez usta wiosny. Dziécię przeigra wprawdzie weseléj tę porę roku, aniżeli inne, bo ani zbyteczny upał, ani przejmujące zimno igrać mu nie bronią, lecz przeigra nie pomyśliwszy nawet o tém, że to jest jedyna część roku, w któréj może igrać tak mile. Człowiek podeszły w latach, oswojony

ż przemianami nieba, patrzy obojętném okiem na odmładzające się przyrodzenie.

Nie znajduje on w niém żadnego ze swoim wiekiem podobieństwa, nie szuka go nawet, bo nie lubimy dobrowolnie myśléć o tém: iż już czas naszéj wiosny upłynął. Lecz młodzieniec, gdy uwolniwszy się od słabości dziecinnych, rzuca po raz piérwszy wokoło siebie zatrzymujące się spójrzenie, gdy najpiérwsze, zawsze najżywsze wrażenia tłumem wciskają mu się do serca, i niepojęte, pomięszane, unosząc duszę z jéj zwyczajnego stanu, i dając jéj uczuć całą słodycz życia, skłaniają do dziękowania za nie Twórcy, sam tylko młodzieniec, i jeden raz tylko, czuje w całéj rozciągłości wdzięk wiosny, wdzięk życia, i wdzięczność za dar życia.

Jesień.

Gdy przechodzicie po lesie lub ogrodzie owocowym, i pod waszémi nogami usuwają się z szelestem suche różnokolorowe liścia, i dokoła otacza was posępna jesień, co się w was dzieje natenczas?

Co do mnie, oprócz szczególniejszych pobudek, jakie mam do wierzenia wszystkiemu, co tylko nam czcigodna starożytność od wieku do wieku podaje, wierzę i w to jeszcze, że pstrokate barwy stworzeń od wpływów zewnętrznych zależą; na co nie zabrakłoby mi w starym nawet zakonie czerpanych dowodów. Pstra jesień, jak

ją nazywa Gesner, obudza we mnie zawsze jakieś dumy mozaikowe. Nie śmiejcie się złośliwie z tego mojego wyznania! Są wszakże ludzie, którym nie w jednéj tylko jesieni bywa pstro w głowie!

Jesień jest dla mnie zawsze obrazem przeszłości. Pokryta przez nią liśćmi ziemia, przedstawia mi moje wspomnienia.—Któż zgadnie i wymieni mi drzewa, z których są te liścia! Wichry tylekroć się nad niémi pastwiły, w tylu rozlicznych kierunkach unosiły je po ziemi! Któż mi powie, powtarzam, kiedy i na których drzewach zieleniły się niegdyś te liścia?

Toż samo powiedzieć można o większéj części naszych wspomnień. Nagromadzone bez porządku, dorywczo, często pomimowolnie, bez zamiaru i prawie bez naszéj wiedzy, żyją one

w nieładzie, w doskonałéj niepodległości prawóm myślenia. Krnąbrne, pełne przywidzeń, milczą gdy ich szukamy, niewołane przychodzą tłumem. Nie jestże to czyste naigrawanie się *z chrijów, kategorij*, co większa, strach pomyśléć! z saméj nawet Logiki?

Wspomnienia uszczknione w czasach dzieciństwa, oddychają jeszcze tém niemém zachwyceniem, jakiegośmy doznali, otwierając piérwszykroć na ten świat oczy, dochowane z czasów zamętu, z czasów fantastycznéj młodości; zdają się wreć jeszcze, jak krew, która w nas wtedy płynęła; zebrane w wieku męzkim są spokojne, jak rozsądek; wszystkie mięszają się z sobą ustawicznie, jak jesienne liścia, przelewają się ustawicznie jak kolory w tęczy, dopóki starość ich nie oziębi swém księżycowém światłem, dopóki śmierć nie zetnie swym

lodem na wieki. Kończą się-li ze śmiercią nasze wspomnienia?...

— W téj chwili goniony od psów zając, przebiegał o kilka kroków odemnie. Jąłem się strzelby.

Lecz miałżebym, pomyśliłem, przyprawić to niewinne zwierzę o stan, pokryty dla mnie samego, tak udręczającą tajemnicą?

W głosach przybliżającéj się psiarni odzywała się jakaś dzika, prawdziwie zwierzęca radość.

I w mojém ręku strzelba drżała, czułem przyśpieszone bicie serca.

Już miałem wystrzelić; lecz zdało mi się, iż ożywiły się drzewa, i patrzą jednakiém okiem pogardy na mnie i na ogarów.

Jak bolesna chwila, gdy człowiek szuka w sobie, i nie znajduje obrazu bóstwa!

J a.

Ja u Niemców, dla których niéma nic niepodzielnego, dzieli się na wewnętrzne i zewnętrzne. Pomimo uszanowania, z jakiém jestem dla wszystkich działów i poddziałów, ten wszelako podział uważam za nietrafny i nie nader genijalny. *Ja wewnętrzne i zewnętrzne,* jest prawie toż samo, co mówiąc po prostu, *dusza i ciało;* tymczasem *ja* w prawdziwém znaczeniu tego ślicznego za-

imku, wyraża cale co innego. *Ja* jest to dozgonne przymierze zobopólnych korzyści, potrzeb i chęci ciała i duszy, przymierze nie przez ludzi zawarte, a więc nienaruszone, niemogące nawet nigdy być naruszoném.

Jest to ten okrzyczany egoizm, którym jesteście przesiąkli, który się zamienił w waszą krew i ciało, który plami wszystkie wasze myśli, zamiary i czyny, który trąci od was zdaleka, który jak bielmo uderza mię w waszych oczach, jak piętno hańby maluje się na waszych czołach, od którego i ja być może nie jestem wolnym; lecz zgadnijcie w którym kąteczku mojego serca ma on swój przybytek?

Pokrywać swoje *ja,* jest to największa ze sztuk ludzkich, i każdy się tém cieszy, iż posiada tę sztukę wyłącznie.

O biédni! śmieszni! szczęśliwi ludzie!

Rozmowa dwóch dzikich.

1. Jakie to narzędzie trzyma w ręku ten biały?
2. Ach! to zapewne piorun! Uciekajmy!
1. Nie. Widziałem zbliska tę morderczą trzcinę. Nie podobną ona jest do téj.
2. I czémś błyszczącém migoce w drugim ręku. Uciekajmy!
1. Nas jest dwóch. Przypatrzmy się mu raczéj zza tego krzaku.
2. Podniósł błyskotkę do góry! Patrz! patrz! dym i ogień! Zkąd on go mógł dostać teraz, kiedy słońce świeci tak czysto, i nigdzie nie słychać grzmotów?

1. Wszakże on ma grzmoty na zawołanie! Ale co to on robi? Zbliżył trzcinę do ust i zieje kłębami dymu.
2. Ach! on się pali! bieżmy z pomocą!
1. Nie! to coś ważnego, nadzwyczajnie ważnego być musi. Czekajmy końca! On usiadł.
2. Siedzi nieruchomie i ciągle bucha dymem.
1. Czekajmy! to są zapewne dopiéro przygotowania!
2. Patrz! biały wstaje! Wysypał coś z narzędzia na ziemię, i odchodzi.
1. Już on nas dojrzéć nie może. Pójdźmy na miejsce gdzie siedział.
2. Oto kamień, na którym siedział. Lecz nic nie widać dokoła, oprócz trochę popiołu.
1. Nie! to zapewne nie popioł. Zbierzmy ten proszek! musi on być na coś przydatnym.

Biały nie zwykł nic robić bez celu!!

Rozmowa dwóch białych.

A. Dla czego ta moda na skrzypiące bóty tak krótko trwała?

B. Śmieszne zapytanie! Chciałżebyś ażeby słońce było czarném, ażeby moda była długotrwałą?

A. Wiém to, ale w tym razie, iż powiém po francuzku, moda była krótszą od siebie saméj. Mówią iż po-

trafili w to zwolennicy Merkurego, którym ten skrzyp nieznośny do wielu przeszkadzał przedsięwzięć.

B. Być może. Ale dla czegoż Sekretarz N. nosi dotąd skrzypiące bóty?

Sevigné.

Z całego serca chciało mi się znaleść coś więcéj do naganienia w listach Pani *de Sevigné*, aniżeli znalazł Wolter. Przystąpiłem z tym zamiarem do czytania ich, i na każdéj niemal trzeciéj karcie, widziałem coś pożywnego dla mojego krytycznego podniebienia. Atoli przez winę, któréj sobie darować nie mogę, zapuściłem się w dalsze czy-

tanie, nie oznaczywszy miejsc, które znalazłem do naganienia w piérwszych listach. Im daléj czytałem, tém mniéj postrzegałem wad, nakoniec nic a nic zgodnego z moim celem nie dało się upatrzyć. Rozgniewany wróciłem do początku, lecz... omal nie przychodzi mi uwierzyć w czary! przy powtórném czytaniu, już wad nie było.

Nie chciałbym wszakże wierzyć, aby ta ustawicznie gruchająca synogarlica, nie miała znać się na sobie, i aby do wszystkich jéj listów, mogło się to stosować, co ona sama mówi raz o sobie: „*j'ecrirai jusqu'á demain; mes pensées, „ma plume, mon encre, tout vole.*" Była to tylko chwila listowéj weny, że nie wszystkie jéj listy są pisane dorywczo i jedném pociągiem pióra, świadczą o tém te listy zapaśne *(lettres de provision)* których ona, podobnie jak je-

den z moich znajomych, kopert już nadpisanych, miewała podostatkiem.

Nie jeden jéj list można nazwać *traktacikiem o liście*. I w rzeczy saméj, któż mógł lepiéj znać ten rodzaj, i właściwiéj wykładać jego prawidła, jak ona, która całe życie myślała tylko o listach, i pisała listy? Dodajmy do tego, chciwość więcéj prawie niżeli kobiécą w zbieraniu plotek, długie ćwiczenie się w ich opowiadaniu, dar płci właściwy ślicznego paplania, straconą nadzieję w broni innego rodzaju, obok źle pokrywanéj żądzy podbojów i jaśnienia na wielkim świecie, chęć dowiedzenia się co dzieje w Prowancji? niespokojność macierzyńską azali nie zakochał się w kim P. *de Grignan*? obawę zostania uprzedzoną w rozsiewaniu nowin paryzkich, i częsty katar zmuszający do siedzenia w domu, a nie bę-

dziemy się dziwili iż przy tylu przymiotach i warunkach do dobrego stylu listowego, P. *de Sevigné* dosięgła w nim kresu doskonałości. Ktoby mi po tém wszystkiém chciał jeszcze utrzymywać: iż P. *de Sevigné* była wyższą nad płeć swoją, i że to są listy bez najmniejszéj pretensji pisane, natchnione przez miłość macierzyńską, temu wytrąci z rąk pióro, na jéj obronę podniesione, sama P. *de Sevigné*. Oto są jéj własne słowa: „*Quand je relis mes lettres, je suis tou-*„*jours tentée de les bruler* (*)." Nie jestże to, to samo, co nasze skromne piękności, zwykły pomieszczać w przypisku: „Jeśli mię kochasz, spal ten list! Zmi-„łuj się nie pokazuj tego nikomu! Prze-„praszam że tak brzydko piszę?" i t. d.

(*) List. 46.

Harduin.

Harduin równąż prawie co i Spinoza ma sławę w świecie naukowym. Wątpię atoli aby kto czytał jego życie z innym zamiarem i lepszém usposobieniem woli, oprócz pobudzenia się do śmiechu. Nie ujmuję wam wprawdzie głęboko uczeni, długo i ciemno-perjodyczni Niemcy, żeście mogli rozważać życie Harduina i psychologicznie i an

tropologicznie i filologicznie; że jednak nigdy nie natrafiliście na prawdziwe stanowisko, *i ten punkt, z którego wam należało wychodzić w zapatrywaniu się* na tego wielkiego człowieka, jest to już stąd widoczna, że kiedy tylu z was i zcicha i jawnie starało się uniewinniać i bronić Benedykta Spinozę, żaden dotąd nie podjął się obrony Jana Harduina. Do tylaż to już złą jest jego sprawa, że wy nawet o niéj rospaczać musicie, wy, o których w wieszczym duchu wyrzekł nieśmiertelny konsul (bo nie myślcie aby Cycero innych prócz was filozofów rozumiał w tém miejscu!) „że niéma rodzaju niedorzeczności, „któréj-by albo nie wymyślił, albo nie „bronił z was który."—O! nie! X. Harduin, nie mógł się w podobnéj kategorji znajdować, i tém samém, że to był rzadki cud w świecie i nader osobliwy

człowiek, nie zginie w niepamięci i nie pozostanie bez obrońcy!

On jeden tylko widział światło w ciemnościach. On jeden chciał skutecznie uleczyć świat z przesądów, których cały ciężar na biédnych literatów spada. Jak Kopernik niepoznany i nieoszacowany od spółczesnych, od wdzięcznéj potomności zapewne winną cześć odbierze. Już zda mi się, że widzę te czasy.... Wielki Wolfie! (*) ty niesiesz przedemną pochodnię! *Jak narody Tella, Waszyngtona,* tak szkoły uwielbiać będą Harduina. Tak jest! o wielki mężu! nieśmiertelność będzie twoim udziałem, i materjalista chyba rozśmieje się z mojéj przepowiedni!

(*) Fryderyk August Wolf. Przypomnieć tu sobie należy jego sławne Prolegomena do Ilijady.

Homer.

Pochwała Homera zawiera się w jego nazwisku. Ten wielki, boski poeta... tak jest! ten wielki, boski poeta, był jednym z jenerałów, oblegających Troję, a pozostałe dwadzieścia cztéry rapsodije jego Ilijady nie są czém inném, tylko tyląż doniesieniami do króla Peleja o postępkach syna jego Achillesa, i o działaniach, zaszłych podczas oblężenia. Nie mogę się dosyć wydziwić, jak ta mysl nie przyszła dotąd żadnemu z filologów! Jestem bowiem najmocniéj u siebie przekonany, że jeśliby zosta-

ła wyrażoną po łacinie, i upstrzoną kwiatem erudycji, byłaby poczytaną za domysł krytyczny, nader szczęśliwy i nader prawdopodobny. — Wiémy z podań o Homerze... Ale, dalibóg, my o nim nic nie wiémy!... Przypuśćmy wreście, że wiémy iż Homer był ślepym. Nie widocznaż, iż kula karabinowa, która mu przeleciała mimo oczu, pozbawiła go wzroku?...

Od téj to chwili opuścił on zawod wojenny, a następnie i pasmo raportów przerwać się musiało. Jakoż widzimy, że w rzeczy saméj nie dochodzą one aż do wzięcia Troi. Któż mi teraz ukaże inną, równie dostateczną przyczynę téj widocznéj przerwy? Nie przypuszczam, aby się mógł znaleść kto nieświadomy do tyla, iżby tu chciał wyprowadzić na plac prawidła Epopei, i niémi usprawiedliwiał tę bijącą w oczy niezupełność dzieła,

tak jak nie przypuszczam, aby się mógł kto odwoływać do Odyssei, bo jest-że jeszcze choć jeden nieuprzedzony i rozsądny znawca, któryby o tém powątpiewał, iż Odysseja jest innéj ręki? (*)

Tak więc ci wszyscy, którzy nam każą uczyć się Ilijady, historji, mytologji, starożytności, poezji, wymowy, słowem wszystkiego, i którzy tém samém okazują, że nie wiedzą sami za co ją mają uważać, niech raczéj powiedzą, że z Ilijady uczyć się należy *Rapportystyki*, (**) to jest, sztuki pisania wojennych doniesień. We dwódziestu

(*) Są to zwyczajne formuły wtórorzędnych filologów niemieckich. Częstokroć o najniedorzeczniejszéj hypotezie powiadają po dyktatorsku: „*nemo cordatus de hoc dubitabit;*" i tym sposobem nie jednego małéj wiary, lecz dbałego o honor znawcy literata, zdołają zastraszyć i obłąkać.

(**) Wyraz ten utworzony jest podług sposobu tworzenia nowych nauk, nadesłanego mi z Niemiec. Sposób ten jest bardzo prosty. Wziąść jakiekolwiek łacińskie lub

cztérech raportach Homera wskażcie mi aby jeden, aby jedno miejsce, gdzieby się on zapomniał, że jest jenerałem greckim, gdzieby zranił dumę Peleja i kazał mu powątpiéwać o zdobyciu Troi? A jednak i Troja ma swego Hektora, i przy Troi stoją bogowie, co większa sam Mars walczy za Trojanami! Lecz czémże jest to wszystko dla fałszywego Greka? Ajaks kamieniem obala Hektora, Djomed samego boga wojny rani. Kto wie azaliby on nawet tego zdradzieckiego konia, na którego wprowadzenie dobrowolnie pokruszyli mury Trojanie, nie zamienił na szturm otwarty ze strony Greków, jeśliby sprawiedliwe Niebo nie ukarało kłamcy ślepotą, i dozwoliło mu patrzéć na dalsze wypadki wojny.

---

greckie słowo, dodać do niego *tik*, *mik*, albo *fik*, i powstaje nowa nauka: *np.* Cameralistik, Diätetik, Hydronamik, Epigraphik it. d.

Mowa.

Nie pojmuję przyczyny, dla czego tak pochopnémi jesteśmy do mówienia, chociaż nas rozum przekonywa, iż mowa daną nam jest tylko dla koniecznéj potrzeby, i że milczenie (mówię tu tylko o mężczyznach) zdaje się być przyrodzonym stanem naszym. Nakręcać swe myśli do nudnego porządku rozmowy, narażać mózg na przykre, kończą-

ce się bolem głowy, natężenie, chwytać gwałtownie, wbrew prawu oddychania, powietrze, i wyrabiać zeń słowa, nie upuszczając z widoku tysiąca drobnych względów na grammatykę i przyzwoitość, zadyszéć się, upotnieć, nadwerężać płuca, gardło i piersi, odsłonić się dobrowolnie na razy złośliwości; — czyliż przedmioty naszych codziennych rozmów zasługują na tyle ofiar? wynagradzają-li one tak olbrzymie usiłowania?

Czasowanie.

Dzieląc grammatycznie życie nasze na trzy czasy: terazniejszy, przeszły i przyszły, trudno jest powiedzieć, któremu z nich oddaćbyśmy powinni piérwszeństwo? Uwielbiamy ustawicznie przeszły, myślimy i działamy dla przyszłego, a jednak, podobnie jak pijak nad uronioną kropelką, drżemy nad każdą chwilą życia, ilekroć o tém myślimy, że żyjem!

Ściślejsi grammatycy nie przypuszczają czasu terazniejszego. Rzecz dziwna! Gdzież więc ich samych odniesiemy? Czy do czasu przyszłego? Ale dla grammatyków niéma przyszłości! Czy do przeszłego? Ale byłoby okrucieństwem pogrzebać żywcem, chociażby nawet grammatyka! Musi więc być czas terazniejszy, skoro są ludzie, którzy żyją tylko dla niego.

Poezija i Wymowa.

Serce i rozum, *piękność* i pożytek, *poezija* i wymowa, są to wyrazy jednoznaczne, tylko nie jednocześnie utworzone.

Przypływ krwi do serca i przyśpieszone jego bicie na widok pięknéj dziewicy, jest to bez wątpienia stan różny od tego widocznego natężenia sił życia, które się objawia na czole głęboko zamyślonego człowieka.

Czujemy piérwéj, niżeli myślimy, uderzenia serca wyrazniejszemi są dla nas, niżeli *oscyllacije* mozgu; cóż zatém dziwnego, że piérwsi ludzie za siedlisko myśli i uczuć naznaczyli serce? (*)

Poeta—śpiewak, to jest człowiek z sercem przepełnioném uczuć, mówi z konieczności, z musu, czyli z natchnienia. Nie może on zawrzéć w sobie wrażeń, które odebrał, nie może ich oddać na powrót przedmiotóm zewnętrznym, szuka więc z upragnieniem istoty obdarzonéj spółczuciem, i dzieli się z nią swoim ciężarem. Musi się on go pozbyć jakimkolwiek sposobem, musi wyśpiewać swe dumy, przed kimkol-

(*) Głowa, jako warstat myślenia, każdy zgadnie, że to już jest myśl późniejsza, filozoficzna. Starożytni myślili w sercu, mówili, kochali z serca, we wszystkiém radzili się głosu serca. U nas wyraz ten potrzebnym jest tylko do romansów, chociaż i w miłości umiémy radzić się głowy.

wiek; jeśli nie przed istotą udarowaną czuciem, to przynajmniéj przed rzeczą, przez niego samego ożywioną i uosobioną.

Poeta pełen swojego boga, jest to koń dziki, niecierpliwy pozbycia się jeźdźca, jest to kobiéta obarczona tajemnicą.

Nie myślcie aby to był żart tylko, iż poeta rozmawia z wyżłem, księżycem, strumykiem lub łąką.

Każdy żart opiéra się na prawdzie, i tém jest dowcipniejszym, im bliżéj będąc prawdy, dalszym się od niéj zdaje.

O ile więc uczucie od myśli, o tyle poezija starszą jest od wymowy.

Dziécię, zachwycone powabami wiosny, skacze po łące i śpiewa. *Poetae nascuntur.*

Pół dziki Amerykanin, zmuszony do porzucenia rodzinnéj ziemi, tłómaczy się z mocą Demostenesa. *Oratores fiunt.*

Poezija,—córka uczuć, Wymowa,—córka potrzeby, obie,—córki przyrodzenia. Lecz Poezija pierworodne, pieszczone, ukochane dziécię; Wymowa,—córka młódsza, nie tak udatna, obrócona do gospodarstwa.

Pożar.

Niedawno byłem wybrany losem na oznajmienie Państwu B. że pożar wybuchnął w ich domu. Smutne przeznaczenie zwiastuna złéj nowiny! Wszystkich spójrzenia, wyrażające zbiór przestrachu, boleści, osłupienia, rospaczy i jakiejś bezimiennéj złości ku donosicielowi, zwróciły się ku mnie. Potém nastąpiło najrozmaitsze i najbardziéj zajmujące, jakiem kiedykolwiek oglądał widowisko. Byłem tyle kamienny, żem przypatrywał się mu spokojnie. Zaledwo wróciłem do domu (może-li być nieczulsza i samolubniejsza istota nad pismiennika?) wziąłem się natychmiast do opisania, rad niewymównie że nieszczęście bliźnich dostarczyło mi przedmiotu.

—Jak ślicznie, ostróżnie, z jakiém wdziękiem omdlewała Amelija! możnaby było pomyśléć w inném zdarzeniu, że to był zawczasu obmyślony pocisk, rychtyk w serce Pana Rotmistrza. I w rzeczy saméj P. Rotmistrz tonął w napół przymrużonych oczach Amelji, odniósł rękę od wąsów, nie bawił się nawet z krzyżykiem. Mógł-li być gwałtowniejszy wybuch rozczulenia w wojskowym?

Panna Agata, któréj omdlenie, niestety! niéma już nic zajmującego, rzuciła się piorunem do swojéj toalety, wyjęła z niéj jakiś papiér, i leciała ku drzwiom. Myślicie zapewne, że to był chleb jéj patronki, lub metryka chrzestna, którą Panna Agata chciała ugasić pożar? Mylicie się! był to najpotężniejszy z wdzięków panieńskich, prawdziwy pas Wenery,—zapis na tysiąc dukatów.

Pan Sędzia z szybkością sokoła pochwycił za krzesło, i sięgnął na belkę.... Lecz cóż to się wam zdaje? Wstydźcie się posądzać dobrego Chrześcijanina i obywatela o tak nikczemną rospacz! P. Sędzia wyciągnął tylko zza belki kluczyk, i popędził z nim do kantorka. Gdybyście widzieli natenczas jego białą zakłopoconą szlafmycę, jéj zadyszany kutasik, wahający się komiczno-tragicznie, powtórzylibyście sami: *Sunt lacrymae rerum!* i zgodzilibyście się na tę prawdę romantyczną: że śmieszność nie szkodzi bynajmniéj wrażeniu tragiczności.

Lecz jakże opisać tę orkiestrę uczuć (poświęcam to porównanie cieniom Marewicza), tę orkiestrę uczuć, która na widok kluczyka, odezwała się *á tutti*, na twarzy Pani Sędziny. Gniew wewnętrzny, że nie mogła się domyśléć tak łatwéj i nieostróżnéj kryjówki, rospacz

z powodu niepożytecznego odkrycia, żal ku Niebu, że do ostatniéj chwili sprzyjało wybiegóm sknerstwa, nie przezwyciężona w kobiécie bojaźń ognia, uczucie macierzyńskie na widok omdlałéj córki, myśl o śpiżarni, któréj wszystkie drobiazgi jeden przed drugim uobecniały się w téj chwili, dla pożegnania po raz ostatni swéj Pani — obraz ten byłby godnym pędzla Hogarta.

Pan Sędzic, młody poeta, w rodzaju anakreontycznym, porwał za gruby sposzyt swych rymów, i gotów był powiedzieć w téj chwili z Symonidesem: *Omnia mea mecum porto!*

Na widok Elżuni, zalewającéj się łzami, i zbierającéj swe lalki, zabrakło mi męztwa.

W saméj nawet rospaczy naszych bliźnich, jak dobrze powiedział *Rochefoucauld,* jest coś takiego, co się nam

niezupełnie nie podoba. Pochodzi to stąd może, że miło jest nam widzieć bez maski cudzą miłość własną, lub może z przyczyn podobnych téj, dla jakiéj często się zdarza, iż pobożni Chrześcijanie śmieją się przy dźwięku muzyki pogrzebowéj, idąc za rzęsisto oświeconemi karami. Lecz rospacz dzieci przedziera się do najtwardszego serca.

—*Prima Aprilis!* krzyknąłem, również przestraszony, jak gdybym w rzeczy saméj wzniecił pożogę w domu moich sąsiadów.

I o niewysłowiona dobroci mieszkańców wiejskich! W imię zwyczaju i piérwszego kwietnia, przebaczono mi, pochwalono nawet to zręczne kłamstwo, to niewinne podejście.

A jednak za to niewinne podejście, za to zręczne kłamstwo, gdzieindziéj wyjednałbym sobie niechybnie zaszczytne miejsce w domu poprawy!

Szczęściem że u nas niéma domów poprawy, i że to wszystko jest tylko szustem wybujałego dowcipu, jak mówili starzy.

Lecz ileż to razy te niedorzeczne, wiekami upoważnione kłamstwa, pociągały za sobą smutne następstwa! Słyszeliście zapewne o przypadku Hrabiego A.? Wyrządzono mu żart jak tylko być może płaski i nieludzki. Doniesiono że mu umarła żona. I zrospaczony Hrabia tegoż samego wieczora... ożenił się z drugą.

Jeżeliby *prima Aprilis* nie było zabytkiem rzymskim, klassycznym, i jeślibym się nie lękał nazwiska romantyka, nie wahałbym się zeń naigrawać, jak z jakiéj gminnéj stypy lub sobotki.

Bądź co bądź, a w tém pedantyczném zdaniu: „iż zmyślać, bodajby żartem, „jest to upadlać dar mowy," kryje się djabelny syllogizm!

Burza.

Około trzeciéj godziny z południa zerwał się dzisiaj silny wicher. Chmury piorunowe zewsząd następowały, i wszystko zdawało się zapowiadać nadchodzącą nawalnicę. Byliśmy wszyscy w pokojach, tylko chłopiec z loretańskim dzwonkiem biegał po dziedzińcu. Wtém dał się słyszéć turkot zajeżdżającego pojazdu. Rzadkiém zdarzeniem,

najpiérwszą osobą, która wyjrzała przez okno, nie była kobiéta. Wzięłaby ona zapewne za czary, ogromną brykę, przebiegającą bez koni po dziedzińcu. Dzieci Eola tak się to rozigrały! Jeżeliby w budzie siedziała wtedy przypadkiem jaka sędziwa Baucis, któż wie azaliby i ja sam pomimo głosu rozumu, i niezbitych dowodów X. Bohomolca, nie uwierzył, że ten dyliżans pośpiésza na łysą górę?

Zdałoby się że przyrodzenie umyślnie niekiedy wynajduje sposoby, dla utrzymania nas w przesądach.

Cholera.

Cholera od niejakiego czasu stała się najważniejszym przedmiotem myśli i rozmów, cudowną nawrócicielką mocnych duchów, zwierciadłem serc zajęczych, kamieniem probierczym odstawnych poruczników i t. d. Oto wielostronny przedmiot! Ale jakże pisać o nim, kiedy podług zaleceń lekarzy, nie wolno nam nawet pomyśléć o cholerze, nie

ugryzłszy wprzódy kawałeczka goździka, i nie okurzywszy się mocno chloryną? Cóżkolwiek bądź przeciw temu mówią dziennikarze, a podług mnie, milsza jest skóra, aniżeli sława uszczypliwego pisania!

1831 r.

Autor i Famulus.

—Niegodziwych drew przyniosłeś mazgaju! rzekłem do mego famulusa, siedząc przed piecem, i filozofując, jak należy nad migocącémi skrami. To olchowe polano nie zapali się i do skończenia świata!

— Niech mi tylko Pan pozwoli! Ja je wydobędę z pod spodu, i zaraz się zapali.

I stało się jak rzekł famulus. Polano zapełgnęło jak świéca.

— To olchowe polano, myśliłem sobie, jest obrazem ukrytego, skromnego talentu. Mój famulus jest to przenikliwy dobroczynny mecenas! Lecz jakże wy-

dam się ja w tém porównaniu! ja, którym się nie poznał na dobroci téj olszyny?...

Ludwik Wielki omylił się na Księciu Eugenim, Fryderyk Wielki na Laudonie. Oba przyznali się do błędu, oba go żałowali — bo byli *wielcy!* Ludzie wielcy skazani są na dziwactwa — bo skądby były anegdoty?

Lecz jakże postąpić w podobnym razie nam ludziom pospolitym, przyszpilonym do poziomu? Odwołać-li błąd?— Uchowaj Boże!

Nagrodzić pochwałami za popełnioną niesłuszność?—Uchowaj Boże!

Obstawać upornie przy swojém zdaniu, i ganić zawsze, co się raz naganiło? — To sposób bardzo spowszedniały!

— Milczéć? — przynajmniéj milczéć, jeżeli miłość własna więcéj ma nad nami mocy, niżeli miłość dobrego!

Wspominanie (Reminiscentia).

Radbym powiększyć władzę wznawiania przeszłości, czyli przypominania, kosztem władzy przeczuwania. Ta ostatnia, (odróżniam ją od nadziei) przedstawia mi przyszłość najczęściéj w ponurym widoku. Przeszłość nigdy mię nie udręcza. Jeżeli smutne są czasów zeszłych pamiątki, napełniam się tém słodkiém uczuciem, jakiego doznaje każdy człowiek, oswobodzony ode złego, na jego wspomnienie. Jeżeli wznawiam w myśli przebyte błogie chwile, doświadczam przyjemności, mniejszéj wprawdzie od téj, w jakiéj podówczas opływało serce, gdym jéj kosztował rzeczywiście, bo do miłego przypomnienia, przyłącza się żal za upłynioném szczęściem; zawsze przecięż czuję jakąś

wewnętrzną radość, tém żywszą, im żywiéj sobie umiém wyobrazić czas przeszły. Dla tego to chciałbym aby władza przypominania była mi najwierniéjszą, abym żadnego szczegółu, najmniejszéj drobnostki, wiążącéj się z mojém zniklém szczęściem nie przepomniał. Nieraz były mi one obfitém źrzódłem najroskoszniejszych uczuć.

Człowiek, który wiele złego i dobrego doświadczył w ciągu swojego życia, może jego ostatki przyjemnie spędzić na rozpamiętywaniu przeszłości. Ona to rozwiązuje aż do wielomówstwa usta starca, ona to jeszcze zamyka usta, i wyciska znamię smutku i melancholji na twarzy młodzieńca, który w poranku pożegnał się ze szczęściem. Nie miejmy mu za złe iż się on nam ze swojémi skargami nie powierza. Ubolewajmy, litujmy się nad nim, jeśli się podoba! ale na miłość Boską! nie oświadczajmy mu naszego politowania!

Madona Ariosta.

Powiedzieć jakiéj tegoczesnéj piękności iż wprawdzie cudownémi są jéj wdzięki, ale cudowniejszą daleko wierność jéj kochanka, byłoby to obrazić ją śmiertelnie. Jednakowoż Madona Ariosta z dobrém sercem słuchała następujących wierszy.

. . . . . .

O braccio o mano, e quanto fin almente
Di voi si mira, e quanto se ne crede
Tutto è mirabil certo: nondimeno
Non staro ch'io non dica arditamente
Che piu mirabil molto è la mia fede. (*)

(*) Sonet 25 edyc. weneckiéj.

Nauki.

Najtrwalszemi są bez wątpienia i najbardziéj dają się urozmaicać rozrywki umysłowe, lecz jakże za to ciężkiémi i morderczémi są chwile przesytu, które po nich nadchodzą. Każdy człowiek prędzéj czy późniéj odkrywa i w naukach salamonowe: próżność nad próżnościami!

Daremniebyśmy chcieli wskrzesić w sobie nowy do nich zapał, próżnoby podżegano nas tym najskuteczniejszym

dla ludzkiéj dumy bodźcem iż czeka nas jeszcze wiele nieznanych rzeczy, iż odstręczyliśmy się na początku drogi, i wydaliśmy wyrok przed rozpoznaniem sprawy; rozsądek nas ostrzega iż to są tylko zdradliwe sidła, podstępne zachęcenia kasty mistrzów, podobne zupełnie do wyrachowanych spojrzeń zalotności. Dość jest znać gruntownie jedną kobiétę, aby znać wszystkie, dość jest stérać lat kilka na naukach, aby mieć wyobrażenie, jakim sposobem téra się na nich całe życie?

Wszystkie nauki wypłacają się nam tak jak alchemija. Zwyczajnie umiéramy dniem przed wynalezieniem filozoficznego kamienia.

—Tak myśli Pan Sędzic za powrótem z Uniwersytetu—i pomyśliwszy, zamyka książki, które się nie otworzą aż chyba razem z jego testamentem.

Potomność.

Musi być przecię jakakolwiek różnica, pomiędzy sławą a sławą, między Bajronem i Paganinim! Jest sława dożywotnia, przemijająca, i sława tak nazwana nieśmiertelna.

Na piérwszy rzut oka, zdawaćby się mogło że ludzie skorszémi są do wyrażania swojego podziwienia przez oklaski, niżeli przez złoto. Tymczasem nie zawsze tak jest w rzeczy saméj. Katalani prawie że już zapomniana, przerzuca milijonami, wdowa niezapomnianego Walter-Skotta, pobiera sto funtów szterlingów rocznéj jałmużny. Sława w potomności przynajmniéj w tém porównaniu okazuje się droższą nad milijony!

Cóż myśléć o téj tak gorąco pożądanéj nieśmiertelności autorskiéj? Jestże to w rzeczy saméj najwyższe z dóbr ziemskich? Czy też tylko cacko szczęśliwie wynalezione? dowcipnie wymyślone złudzenie umysłowe, w istocie niczém nie różne od złudzenia optycznego?

Piérwszy co się odwołał do sądu potomności, był-li to tylko marzyciel? oszust? czy też głęboki znawca serca ludzkiego, który odgadł największą z jego potrzeb, najważniejszą z tajemnic?

Potomność! już straszny, już pocieszający wyraz! I on miałby być uświęconym zabobonnie? Najmędrsi wszystkich wieków ludzie, mieliż-by oddawać cześć nieistniejącemu bałwanowi?

Ziemska nieśmiertelność? Dajmy że to jest tylko urojenie, parodija nieśmiertelności duszy; zawsze jednak pomysł wielki, nieoceniony, zbawienny!

Życie.

Trzpiot i Filozof, jednaką nad życiem robią uwagę, iż jest snem tylko. Nieraz je określano w ten sposób i na łożu śmierci. Dobre określenie! Krótkie i trafne, i mniéj cierpkie, mniéj jadowite niżeli określenie Bajrona. W rzeczy saméj życie jest snem tylko. W dzieciństwie jest on słodki, spokojny, za młodu

miły, małowny, w wieku męzkim burzliwy i przerywany; na starość mógłby być znowu spokojnym, lecz nie może nam dogodzić żadne położenie poduszki.

Jeżeli. Azali. Gdyby.

Jak smutny byłby los muzyki, jeśliby nasze ucho mogło zachwycić pojedyńcze dźwięki, i rozróżnić w tym *błyskawicznym* szeregu, w jakim one po sobie następują. Boskie skrzypce Paganiniego, czyniłyby wówczas ten sam na nas skutek, jaki czynią dzwony. Paganini byłby tylko dzwonnikiem. Ale to jeszcze najmniejszy z cudów bożka: *Jeżeli.*

Azaliby nie można było utworzyć nowego rodzaju muzyki *fejerwerkowéj*, to jest, doprowadzić do tego stopnia doskonałości ognie sztuczne, iżby nietylko przedstawiały węzły, kwiaty, ogniste fontanny, lecz też i pękały muzykalnie,

podług taktów? Zobaczycie że się to stanie kiedyś, i że się będzie mówiło: *spalić symfoniją, mazurka, walca, angleza* i t.d.

Wiém że to być nie może, ale dajmy, gdyby się też kiedy zeszły z sobą niebieska sprawiedliwość z ziemską. Ciekawy jestem coby to było za spotkanie? Podobna do prawdy, że dwie rodzone siostry przelękłyby się nawzajem. Tyle już lat upłynęło jak pierzchliwa Astrea opuściła ziemię: w tym przeciągu czasu nasza biédna *Justitia* tyle razy bywała już zbyt łatwą, już zbyt surową, że prawie jestem pewnym, jakbym słyszał i był przy tém, obie siostry dostałyby spazmów z przestrachu, a potém powiedziałyby sobie powtórnie, jeszcze uroczyściéj niż po raz piérwszy: — *Adieu!*

Natura horret vacuum!

Ilekroć czytam lub słyszę iż nic nie ginie w przyrodzeniu, iż rzeczy odmieniają tylko swój kształt lub barwę, nic bynajmniéj nie tracąc ze swojéj istoty; gniewam się i czerwienię ze złości.

Gdzież się więc obróciły, pytam, i jaką przyjęły postać, moje wesołe lata, moje młode marzenia, moje zdania filozoficzne, moi przyjaciele serdeczni, moje przegrane pieniądze?

—Straciłeś już to wszystko przyjacielu! odpowiada mi rozum.

—Ufaj bracie! cieszy mię myśl romantyczna, wszystko to spoczywa na łonie czasu, i będzie znowu twojém! ot tam! gdzieś! kiedyś! daleko!

—Nie! głupcze! nigdy już swego nie odegrasz! przydaje żona.

A jednak to zdanie, jakkolwiek niedorzeczne, musi mieć swoją zasadę, *bo nie może być skutku bez przyczyny*, ażeby się sprawdziły słowa Arystotelesa.

Ciekawość.

Że źle jest być ciekawym, że ciekawość jest piérwszym do piekła stopniem, nic nie bywa częściéj powtarzaném. Lecz jakże u licha nie być ciekawym, kiedy ciekawość jest w przyrodzeniu naszém, kiedy sam Bóg obdarzył człowieka tą nieumiarkowaną chęcią wiedzenia, która go w rzeczy saméj nieraz zaprowadziła do piekła? Nie piérwszy to Empedokles zostawił nam po sobie tylko żelazne trzewiki!...

Bez ciekawości nie moglibyśmy nabyć pojęć nieodbicie potrzebnych, bez niéj nie dostąpilibyśmy wielu cnot szacownych, bez niéj nakoniec, tak jak ryby bez wody, nie mogłyby żyć kobiéty. Ogólna więc ta nagana ciekawości, spada tylko zapewne na ciekawość zbyte-

czną i niepotrzebną, która najczęściéj w sobie saméj znajduje karę, jaką była ta, która mię dziś przyprawiła o stłuczenie szkiełka w zegarku. Pisałem. Zapuszczone od słońca okno, nie dozwalało mi widzieć co się dzieje zewnątrz. Wtém dał się słyszéć turkot zachodzącego pojazdu. — „Nie trwoż „się! to zapewne nie do ciebie!" poszepnęła mi cnota gościnności. Wszelakoż, jak gdyby z pilnéj potrzeby, rzuciłem pióro, podniosłem szybko zasłonę i z całém mojém myślącém i uważającém *ja*, byłem za oknem. Tymczasem nieuważne *ja* pozostałe, zawadziło o leżący na stole zegarek; szkło zadźwięczało, humor z brzękiem rozpadających się kawałeczków uleciał. Postrzegłem wysiadającego opasłéj tuszy gościa, któregom się nie spodziewał.

Pyrrus i Cyneasz.

—Gdybym to ja miał, myśliłem sobie, karego wierzchowego konia, mierzynka, ale pewnych nóg, pięknego składu, i powolnego na rozkazy....

—A to na co? jeśli się godzi zapytać? rzekła mi ciekawość grzecznie udygnąwszy.

—Jak to na co? moja kochana! alboż nie wiész żem ja myśliwy?

—Wiém o tém.... Ale w którychże kniejach Pan zamyśla polować?

Pewniki, do ogółu pewników.

Z JADĄCEGO w piątek wieczorem Żyda, można wnieść o blizkości karczmy lub miasteczka.

Z długości stérczących końców kołnierzyka, można wymierzyć dozę miłości własnéj i zarozumienia wiercipięty.

Z mocno zaciśnionych ust, można poznać sknerę.

Z ciągle musztrujących się pięt, dymissijonowanego Rotmistrza.

Z igraszki muszkułów na szczękach dolnych, adwokata.

Z kołysania się siedzącego Izraelity, stopień jego nauki i pobożności.

Z liczby całusów żegnających się kobiét, jak daleko one się nienawidzą?

Próżność.

We dwódziestu leciech zdało mi się... tak jest, zdało mi się że każdy obraz boski jest doskonałym, zaczynając odemnie.

Lecz i dziś jeszcze nie wstydzę się téj słabości. Jest ona ludziom wrodzoną, i dostała się w udział zapewne w celu godnym tego, który na wszystkiém znamię mądrości wycisnął.

Nie przeczę iż miłość własnéj powierzchowności, bywa niekiedy złego

przyczyną! pomyślcie jednak od jak wiela złego chroni ona człowieka?

Nie w każdéj chwili jesteśmy przekonani o najlepszości świata. Nie zawsze przyszłość i nieśmiertelność są przytomne naszéj pamięci; od lat ośmnastu do trzydziestu, wszystko do koła nas obraca się tak lekko, prędko, małym kosztem, jak krew w naszych żyłach. Życie natenczas zdaje się być niższéj ceny od odmówionego spójrzenia jakiejkolwiek Julji, od jakiegokolwiek niezręcznie wyrażonego domysłu, na rachunek naszego rozumu, odwagi, urodzenia.

Któż w tych stanowczych chwilach wstrzymuje dłoń śmiertelnika filozofa?— Czy religija? ale to się dzieje w epoce szału niedowiarstwa! Czy filozofija?— Ale filozofija, jak gdyby powątpiewając o naszém męztwie, przypomina nam ciągle śmierć Sokratesa, Katona, Mitryda-

ta!—Czy przyjaźń? ale przyjaźń, jak wam wiadomo, mało obeznana z retoryką, powtarza tylko jedne a jedne androny; cóż z tego że one mogą pochodzić z serca?

Któż, powtarzam, rozbraja natenczas dłoń samobójczą? któż, jeżeli nie zwierciadło? — Życia nie żałujemy; bo jakiż powab, lub cenę można nadać temu nędznemu życiu? *Trochę miłości, trochę wina...* Nieśmiertelny Bajron, ten największy jenijusz od czasów wieży Babilońskiéj, piérwszy dopiéro określił życie trafnie i poetycznie!— Nie żałujemy świata, bo któżby chciał żyć na świecie takim, jakim on jest teraz? Jego dziwaczne ustanowienia, jego dziecinne i opłakane przesądy, jego policija, kozy... Ach!

Lecz żal nam nieśmiertelnego obrazu bóstwa! śród tych milijonów ludzi, wielu znajdziemy podobnych do siebie co

do rozumu, mocy duszy, lub przymiotów serca, lecz nie znajdziemy ani dwóch twarzy doskonale podobnych pod względem plastycznym.

Każdy człowiek jest pięknym, właściwym sobie sposobem. Tak wyrzekł grecki Plato, i tę nieomylną prawdę, po wszystkie czasy powtarza zwierciadło!

Księżyc.

Wszystkim wiadomo jak niegrzecznie obszedł się Mahomet z gwiazd Królową. Omamiwszy niebaczną sztucznem kwileniem i prośbami, potrafił nareście skłonić do tego, iż spłynęła na swoim rydwanie, do jego kieszeni. Nieszczęściem stało się to w pełni, i luna lepiéj wyglądała na niebie, aniżeli w kieszeni wielkiego proroka. Postrzegł swoją pomyłkę Mahomet, a umiejąc najczarniejsze zbrodnie przyozdabiać płaszczykiem pobożności, rzekł natychmiast do Omara i otaczających siebie zwolenników: „Oto macie nowy do„wod mojego poselstwa! Lecz nie ogała„cajmy świata z jasności!" To mówiąc wywrócił kieszeń, uderzył w srébrzyste koło, a rozgniewana i zawstydzona królo-

wa nocy, jeszcze czerwieńszém światłem zabłysła na niebie (*). Odtąd lubo z upodobaniem i radością słucha ona skarg nieszczęśliwych poetów i *niefortunnych* kochanków, głuchą jest wszakże zupełnie na ich żale. Najtkliwsze wyrzekania, najrzewliwsze księżycowe ody, zamiast obudzenia jéj spółczułości, jak mylną cieszą się nadzieją nasi pocci, przypominają jéj tylko dawną obelgę. Najniełaskawszą jest ona atoli na poetów polskich i niemieckich, którzy z dawnéj Zeleny, Cyntji i Luny, utworzyli jakiś księżyc *(der Mond)* i powierzają mu swoje żale, chociaż płeć męzka nie zaleca się zgoła ani cierpliwością w wysłuchiwaniu skarg, ani spółubolewaniem.

(*) O tém wpadnieniu księżyca do kieszeni W. Proroka zaświadcza on sam w Alkoranie.

Autor sobie rozpamiętywa.

Jeśli się nam dobrze dzieje, i skłonni jesteśmy uważać życie ziemskie, jako ostatki jeszcze rajskiego życia, nie zapominajmy nigdy iż szczęśliwość nasza rychły kres mieć będzie. Nie godzi się przejść przez ten padoł płaczu, nie odwilżywszy go własnémi łzami.

Smutna ta, niewątpliwa przecięż prawda, mięsza gorycz do najpiękniejszych i najsłodszych chwil naszego życia. Wi-

działem ją tylekroć spełnioną na innych, i sam więc o niéj powątpiewać nie śmiém. Czekam rychło-li pomnożę sobą liczbę narzekających? Ach! ten czas już podobno niedaleki! Im dłużéj niedoznałem nieszczęścia, i im więcéj widzę ludzi z niém się biedzacych, tém bliższą i okropniejszą wydaje się mi chwila spotkania. Szczęśliwy! powiadają, kto jest przygotowanym na niełaskę losu, kto jéj wygląda z niezatrwożonym duchem, i nie dał się rozpieścić szczęściu! Zapewne że byłby taki człowiek szczęśliwym; lecz szczęście jestże to przygotowawcza do nieszczęścia szkoła? Długa pomyślność ziemska jest to jakby wewnętrzna, długo tajona choroba, która się nakoniec objawia sposobem najstraszliwszym. Próżną jest ta epikurejska rada, iż nie należy sobie zatruwać chwil obecnych, widokiem czarnéj przyszłości; bo czyliż

w mocy człowieka zakazać sobie myśli posępnych?

Stokroć szczęśliwszym jest ten, kto jeszcze w dzieciństwie odśpiewał swoją pieśń żałobną, bo z większém prawdopodobieństwem spodziewać się może że w dalszém życiu oczekuje nań trochę słodyczy i przyjemności. Lecz biada temu, kto wyssał wszystkie słodycze życia w tym wieku, w którym nie mógł mieć jeszcze nawet pojęcia roskoszy. Została mu tylko słaba pamięć przeżytych chwil błogich, i przekonanie nieszczęściem niezachwiane, iż jeszcze potrzeba będzie spełnić kielich goryczy.

Rozum.

Ach! na jak wątłéj osadzie musi polegać ten biédny ludzki rozum że tak łatwo zwichniętym być może. Rozmawiałem dziś z pewnym zaciętym Welbiecwiekiem.

Gdyby pół świata uwzięło się na wyprowadzenie go z błędu, a jeden jednym człowiek wmawiał mu: iż go wszyscy oszukują, pół świata niby nie poczęło przeciw jednemu! Nawet po utracie ro-

zumu, człowiek jest najbardziéj zajmującym ze wszystkich stworzeń! Śmiałem się zrazu serdecznie z tego najosobliwszego półgłówka, żałowałem go potém, zazdrościłem mu, i musiałem znowu śmiać się poniewolnie.

Cogito! ergo sum!

Od czasu gdy wielki Dekart wyrzekł te pamiętne słowa, nikt już niewiadomością w téj mierze składać się nie może. Przyznam się atoli iż niebardzo chce mi się wierzyć, ażeby piérwszy Dekart miał powiedziéc te słowa! Może być wreście iż on piérwszy umiał się wyrazić tak krótko i treściwie, ale gdyby i tak było, coż tu jest tak bardzo zdumiewającego? A gdybym też i ja powiedział: *głodny jestem! więc żyję!* powiedziałbym toż samo, i również nic osobliwego! przedtém i potém, teraz i zawsze, dobry apetyt, równie jak i myśl,

był i będzie znakiem życia, i jeszcze należytego stanu życia. Lecz nie idzie tu o dowody naszego bytu. One są niepoliczone, i tém wymówniéj dają się wystawić, że nikt w téj mierze powątpiéwać nié myśli. Idzie nam o odkrycie téj niedocieczonéj tajemnicy: jakim sposobem nie będąc przedtém znaleźliśmy się w terazniejszym stanie? i jakie są prawa, tryby i sposoby działania naszéj duszy? To pozostanie na wieki tajemnicą! W odkrywaniu jéj będziemy wiecznie alchimistami.

Ale! nie! nie! jeżeli niechcemy zbyt drażnić naszéj próżności, i szczerze przejęci jesteśmy zbawienną bojaźnią ku dowodóm metafizyków niemieckich, powinniśmy przypuścić: iż wiémy cokolwiek o naszym duchownym układzie!

Rozdziałek na prośbę mojéj żony.

Có jest kobiéta?—Jest to piękny liczman! Listek osiny! Próżność uosobiona! Gorzka oliwka! Posąg Pigmalijona! Przyczyna elektryczności! Świętéj pamięci Flogiston! *Perpetuum mobile!* i t. d.

Oto są niektóre z nienader laskawych i nienader poetycznych określeń płci pięknéj! liczba ich jest nieskończona, sprzeczność zadziwiająca stosownie do usposobienia umysłu, w jakiém zostawał, i rodzaju figla, którego stał się ofiarą określający filozof. Cała też to zemsta, zadosyćuczynienie, i pociecha umojżeszowanych mężów, oszukanych sędziwych hrabiów,

i upośledzonych kochanków - poetów, że mogą sobie osłodzić zniewagę osobistą, zniewagą całéj płci nadobnéj *in concreto*! Im jadowitszém i złośliwiéj obmyśloném jest jakiekolwiek określenie *kobiéty*; tém oczéwistszy i niemylniejszy otrzymujemy wniosek: że jego autor, stwierdził własnym przykładem smutną prawdę o niestałości tych dziwacznych i podrzędnych istot. Jeżeli chcecie wiedzieć z rachunkową ścisłością, jakiego rodzaju urazę czuje on do płci pięknéj? wybadajcie zeń nieznacznie, czy ma szczęście zostawania w stanie wolnym? czy też piastuje trudne dostojeństwo małżonka?

Nader skromnym, nader przezornym być należy, mówiąc o kobiétach. Kto zbyt pokrzyka przeciw tak nazwanym nadużyciom i dowolnościom społecznym, i ze szczególną emfazą rozwodzi się nad nikczemnym wpływem kozy, nie przeczę że

może gładko i zręcznie rozwijać swoje sofizmy: ale cóż kiedy się nam ustawicznie nasuwa podejrzenie, iż właśnie w téj *skromnéj zaciszy* może on uporządkował najmocniejsze ze swoich dowodów?.. I to śmieszne podejrzenie bywa nieraz przyczyną, że zapominamy o przedmiocie, a zajmujemy się z niepotrzebną troskliwością, losem samego mówcy i takiemi szczegółami, które może nigdy nie zachmurzyły mu czoła. Cóż począć? takiemi są ludzie! Szczypią oni ustawicznie jedną tylko strunę osobistego interesu, i mniemają słyszéć ją wszędy, tam nawet, gdzie może się odzywa najczystsza bezinteresowność, najszlachetniejsze zaprzenia się siebie samego.

Nie poprawimy synów adamowych! Będą oni wiecznie samolubnymi, i nigdy wmówić sobie nie dadzą, aby podobna było człowiekowi działać dla innych, bez za-

dnéj widocznéj lub domyślnéj spółki, bez żadnego bliższego lub odleglejszego widoku. Mówią oni: że sława bezinteresowności ma się tylko w odwrótnym stosunku przebiegłości lub głupowatéj prostoty, i że ten kto ją posiada, albo jest najzręczniejszym i najskrytszym z obłudników, albo najdobroczynniejszym z głuptasów.

Tak mówią oni! zachęcać aby się pozbyli egoizmu, jest to tylko przywodzić ich do grzechu. Ci ludzie gotowi są raczéj posądzić nas o jakiekolwiek rachuby, o myśl budowania na ich nawróceniu zysków osobistych, aniżeli uwierzyć, abyśmy mówili jedynie dla ich poprawy. Im w żaden sposób nie może się pomieścić w głowie, żeby można było mieć kazanie gorliwe, i darmo!

— Cóżkolwiek bądź, strzeżmy się kochana żono! mówić z żółcią o kobiétach!

Piérwszy Człowiek.

Człowiek nie ma instynktu, plemię jego musiałoby więc zaginąć w najpiérwszéj parze, jeśliby nad nim nie czuwała wyższa opieka.

Patrzcie na dziécię! Jak wyciąga rękę ku jadowitéj żmji, jak chwyta za płomień, jak się nachyla do wody, w któréj widzi swój obraz! Strzeżcie go, bo samo przyrodzenie go nie strzeże, nie jest dlań matką.

Ta prosta uwaga niszczyła we mnie zawsze skutek najwymówniejszych dowodzeń, o człowieku w piérwotnym stanie dzikości. Zostawiony własnym sposobóm i siłóm przy tak długiém dzieciństwie, i tylu otaczających go niebezpieczeństwach, nigdyby on rozplenić się nie mógł z jednéj pary. Chyba więc przypuścimy, iż kilkanaście par ludzkich, razem przyszło na świat? Lecz wszystkie nasze teorije zaczynają od jednéj pary. Czemuż więc nie zaczynamy raczéj od Adama? Czemu nie zaczynamy od kolebki rodu ludzkiego, strzeżonéj przez aniołów, od raju?

Początek ten zgodniejszy jest z rozumem, niżeli wszystkie nasze domysły, zgodny jest z podaniem wszystkich narodów, nie powiém już, że jest nam objawiony.

Było niegdyś modą zamiast świętego

słowa *Boga* używać wyrazu *przyrodzenia,* było modą naigrawać się z prawd najświętszych. Szczęściem dla ludzkości, były to tylko mody.

Miejmy nadzieję że i badania filozoficzne, w których rozum rzuca dobrowolnie przewodniczą rekę objawienia, sprzykrzą się nam nakoniec.

Jałowe, niepłodne, niepotrzebne skądinąd, przyniosą one tę korzyść naszym następcóm, iż będą dla nich świeżym dowodem słabości rozumu i potrzeb objawienia.

Filozofija zemsty.

Nie znam nic śmieszniejszego, jak gdy rozziewany przechodzień spotknie się na drodze, i potém z miną rozgniewaną, z usty zlekka otwartemi do przekleństw, z nogą zda się już podniesioną do *kiksnienia* (*) odwraca się

(*) Zda się, że moglibyśmy przysposobić angielskie słowo *kick* na oznaczenie techniczne uderzenia nogą. Lub nie zaciągając długu względem Anglików, uszlachetnijmy tylko te wyrażenia: *dać kiksa, kiksnąć.*

i patrzy na swój kamień obrażenia. Ileż słabości ludzkich maluje się w tém jedném spójrzeniu! Jest to obraz zemsty z całą jéj filozofiją, szlachetnością i pożytkiem!

Obłuda.

Jeszczem ani słyszał o tym uczonym Niemcu, który dowodzi, iż najlepszym przewodnikiem przekonywającym o wewnętrznéj wartości rzeczy, jest większa lub mniejsza przyjemność ich głosu; a już i w mojéj nieudolnéj głowie przesunęło się coś podobnego. To tak łatwo przychodzi na myśl!

Oto są trzy różnorodne pieniądze, miedziany, srébrny i złoty! Zapomnijcie na różnicę ich znaczenia na świe-

cie, weźcie je razem do ręki, i rzućcie z pewnéj wysokości nad stołem! Niech zabrzęczą! Któryż z nich brzęczy najmiléj? — Dukat zaiste!

Lecz nie myślcie aby to było tylko w nas skutkiem wrażeń od dzieciństwa powziętych. Nie! ta jednomyślna uprzejmość dla dukatów, wszystkich oczu i uszu na powierzchni ziemskiéj, dowodzi jaśnie, że człowiek z przyrodzenia ma pewny pociąg do złota, i że wszyscy mniéj więcéj opatrzeni jesteśmy żyłką izraelską. Lgniemy do złota nie z przesądu, nie z przywidzenia, złoto w rzeczy saméj jest piękném!

Uderzcie o drzewo! Im dźwięczniéj i czynniéj wam odpowiada, tém jest lepszém.

Słuchajcie głosu ptaków, głosu zwierząt! Jest to jeden, niemylny spo-

sób, do przekonania się o ich przymiotach. Gdybyśmy nie słyszeli głosu prześlicznego pawia, wzielibyśmy go za najlepszego z ptaków. Tymczasem ten zachwycający, oczaty ptak Junony, zabija własne swe dzieci.

Dziki świst orła i jastrzębia, nie oznajmujeż drapieżnego ptaka?

Lecz któż słysząc po raz piérwszy, słowika, ziębę, dzierlatkę, poczytałje za ptaki szkodliwe.

Ryk tygrysa i dziecięcy bek owieczki, jak wiernie malują nam ich duszę!

Na głosie jednego tylko człowieka polegać nie można. Podobało się przyrodzeniu uczynić ten wyjątek, w celu godnym zapewne téj mądréj matki wszech rzeczy. Stało się to może dla upewnienia nas w wątpliwościach, i przekonania, iż posiadamy duszę le-

pszą od zwierzęcéj doskonale swobodną w swych działaniach.

A tak nawet obłuda, korzystnie może być tłómaczoną na stronę człowieka. Nie znajdziecie jéj w zwierzętach! Jeśli się im przypisuje coś podobnego, jest to koniecznym skutkiem ich przyrodzenia. Obłuda jest dziełem sztuki, rozumu.

Starożytni nie znajdując jéj w zwierzętach przymuszonymi byli uciec się do wymysłów. Stąd Syreny Rusałki i t. d.

Historija.

Zaprzeczyć niemożna, iż w badaniach historycznych, mamy niejaką wyższość nad starożytnymi. Jest to skutkiem niedawnych zaślubin, jeśli tak powiedzieć można, historji z filozofiją.

Dawniejszą historiją, bez ubliżenia wielu pięknym jéj pomnikóm, możnaby nazwać opowiadaniem żołnierza o bitwie, w któréj miał udział, terazniejsza jest opisem tejże saméj bitwy, lecz opisem dowódcy. Niektóre szczegóły lepiéj zapewne skréśli żołnierz, lecz porządne sprawo-zdanie może nam dać tylko świadomy, spokojny dostrzegacz. Słowem

dotychczas mieliśmy historiją czynów człowieka, teraz staramy się mieć historiją jego myśli.

Lecz czém się to dzieje, iż poeci dotąd jeszcze biorą się do pisania historji? Nie chciałbym tłómaczyć tego sobie przez *szał poetycki*...

Czynią to oni zapewne przez wdzięczność ku historji, za jéj powolność, iż dozwala, jak dobroduszna staruszka dzieciom, aby ją ubierano w rozmaite graty, rupiecie i gałganki, dram, romansów, fantazji, scen spółczesnych *(scènes contemporaines)* i t. d.

Jeżeli tak jest, będzie to jedna, i zapewne jedyna z tych cnót, które w ekonomji politycznéj nazywają się *szkodliwémi*, gdyż nie można zaprzeczyć, że wdzięczność w tym razie, przeciwi się dobru ogólnemu.

Fizyognomonika.

Gall, Lavater, Spurzheim, i wielu innych, których nie znam, podali cechy, i wyliczyli warunki, przy których dusza nasza ma działać tak lub inaczéj. Pisma ich będą zawsze przedmiotem podziwienia, ale broń Boże, ażeby kiedykolwiek miały nabyć powagi ksiąg prawnych. Toby nas porównało zupełnie ze zwierzęty. Sądzilibyśmy o ludziach ze składu, tak jak sądzimy o koniach.

Szczęściem fizyognomonika nigdy nie będzie nauką. Korzystajmy z jéj postrzeżeń, mogą być one zbawiennemi niekiedy, lecz biada nam jeślibyśmy w sądach naszych, spuszczali się całkowicie na doniesienia oczu. Po co pod-

sycać w ludziach tę nieszczęśliwą do powierzchowności skłonność?

Mówimy, że chcemy w poznawaniu ludzi oszczędzić sobie pracy, nieszczęść i późnych żalów. Cóż robić! Nic nie może zastąpić miejsca doświadczenia! jakkolwiek martwiącą jest ta uwaga dla młodych.

Jeżeli jednak koniecznie chcemy uchodzić za znawców i sądzić z piérwszego rzutu oka o nieznanych nam ludziach, lub wymaga tego nieuchronna potrzeba, radźmyż się raczéj wewnętrznego uczucia, które nas ciągnie ku jednym ludziom a odstręcza od drugich, piérwéj jeszcze, nim mogliśmy przypatrzyć się dobrze kątóm i rysóm ich twarzy. Rady te, jak mniemam, pochodzą z serca. Nie przeczę iż mogą być często niedorzecznémi, i że polegać na nich nie należy, lecz przynajmniéj podaje nam je dobrze życzący doradca.

Zawiść Literacka.

Chociaż nie mam najmniejszego w świecie pociągu do dziennikarstwa, postrzegam wszakże ze smutkiem iż mam w swém sercu coś dziennikarskiego.

Wiém, i najmocniéj jestem u siebie przekonany, iż należy się cieszyć z pięknych dzieł i pomysłów cudzych, bo stąd odbija się pocieszające światło na wszystkich, którzy są utworzeni na obraz bóstwa; z tém wszystkiém ilekroć czytam dzieło nazbyt niedostępne mym siłom, i mogące być tylko przedmiotem mojego podziwienia, nie zaś sądu, doświadczam zawsze w sobie coś podobnego do tego nieprzyjemnego uczucia, z jakiém, (pomimo najmocniejszego przekonania, iż wszelka władza od Boga pochodzi) nie raz walczyć musimy, stojąc u progu ludzi wielkich. Jak je nazwać to uczucie?... By-

łażby to zazdrość?.. zazdrość, któréj najpiérwszém dziełem były dwie zbrodnie — bliźnięta, mężobójstwo i bratobójstwo? Nie! rod pismienniczy do tyla złym nie jest!

Jest to tylko bolesne uczucie niższości, są to męki miłości własnéj zmuszonéj do ukorzenia się i zamilknienia, jest to przegrana najukochańszéj naszéj próżności, nienawistny tryumf rozumu nad wyobraźnią, okropna chwila wyrzeczenia się samego siebie, chwila rospaczy o własnych siłach, o pomyślności, jedném słowem, jest to *zawiść literacka*, straszliwa, dziedziczna choroba wszystkich dziennikarzy.

Leczy się ona podobnie jak i pospolita zazdrość poniżaniem cudzych zalet i zasług. O żadnym innym środku ani myśléć nie podobna. Obrażona miłość własna jest to dziécię. Nie można jéj inaczéj ucieszyć i ukołysać, tylko bijąc ten przedmiot, który się stał przyczyną bolu, lub stoi na zawadzie.

Płaszcz.

Największa część naszych cnot, naszych dzieł pięknych, nie mówiąc już o tak nazwanych *wielkich czynach,* zaledwo zasługuje na przebaczenie Niebios; są jednak i takie, na które z upodobaniem pogląda Najwyższy. Nie uchylajmy zasłony z piérwszych, bo nawet pochodzące z obłudy dobre czynności, mają swą cenę i pożytek w towarzystwie, lecz starajmy się o ostatnie, jedynie o ostatnie.

Oto czyn przynoszący zaszczyt imieniu człowieka!

W chłodny poranek jesienny roku 1824 wysiadłem przed jednym z lichych naszych domów zajezdnych, dla ogrzania się i wypocznienia. W téj chwili właśnie wyjeżdżali z gospody jacyś podróżni. Nie mogłem, przy słabym brzasku porannym, rozróżnić ich twarzy, lecz dosłyszałem przypadkiem następującéj rozmowy:

— Gdzież jest twój płaszcz P.....? odezwał się nader przyjemny głos kobiécy.

— Nie pytaj mę o to moja droga! odpowiedział głos męzki.

W téj chwili pojazd wyjechał na gościniec i znikł z moich oczu.

Te kilka słów, nie wiém dla czego, głębokie na mnie uczyniły wrażenie.

Najpiérwszém mojém było pytaniem, gdym wszedł do środka gospody: — kto ztąd dopiéro wyjechał?

—Jakieś podróżne państwo, odpowiedział mi Izraelita, tonem najobojętniejszym w świecie.

Musiałem przestać na téj głębokiéj odpowiedzi, i nie chcąc budzić jakichś biédnych dwójga ludzi, którzy z malutkiém dziecięciem spoczywali na ziemi, przeszedłem do alkierza, i zająłem się spólnie z Lady Rebeką urządzaniem podróżnéj herbaty.

Niebawnie przebudzili się i nocujący w piérwszéj izbie. Słyszałem jak rozmawiali z sobą z początku zcicha, potém głośniéj i bardzo głośno, tonem najwyższego podziwienia i radości.

Ośmielony ich ubóstwem, wyszedłem z alkierza, i oświadczyłem im dzień dobry, przydając że zapewne będą mieli dzień dobry, kiedy go zaczynają tak wesoło.

—Ach! Panie! rzekł mi mężczyzna ze

łzami w oczach. Czémże zasłużyliśmy na to dobrodziejstwo? Lub jest to może żart tylko?...

To mówiąc wskazał na piękny płaszcz, okrywający całą rodzinę.

Niewiasta przebudziła śpiące niemowlę, i składając płaczącemu rączki do dziękczynienia, obróciła je ku mnie.

Przez kilka chwil nie rozumiałem nic z tego wszystkiego, i stojąc z mimowolnieotworzonemi usty, mógłbym posłużyć za posąg wyobrażający podziwienie, lecz wnet przyszły mi na pamięć słowa młodych podróżnych, i domyśliłem się tajemnicy.

—Nie mnie! nie mnie! zawołałem rozczulony, powinniście dziękować za ten dar dobrzy ludzie! Widziałem ich.... ale chodźcie napijemy się razem herbaty!

Ta niespodziewana uprzejmość utwierdziła tych biédnych ludzi w mniemaniu, że ja byłem ich dobroczyńcą. Na-

próżno upewniałem, iż inna litościwa ręka przykryła ich tym płaszczem, napróżno wzywałem świadectwa gospodarzy i ukazywałem płaszcz własny; nakoniec przyszło mi na myśl przymierzyć do siebie ten, którego oni stali się właścicielami. Był on znacznie dłuższy. Tym sposobem oddaliłem przecięż od siebie podejrzenie, z którego, wyznaję, cieszyłem się w sercu.

Biédni ci, obdarzeni podczas snu ręką niewidomą, niedawno jeszcze byli majętnemi gospodarzami, lecz stracili wszystko przez pożar. Szli oni teraz do krewnych, mieszkających o mil kilkanaście, w nadziei otrzymania jakiejkolwiek pomocy. A tak dobrodziejstwo tych szlachetnych ludzi, chociaż rzucone na los szczęścia, jedynie za natchnieniem serca, dostało się prawdziwie potrzebującym!

W kilka lat potém, zdało mi się, żem usłyszał znowu ten tkliwy głos kobiécy, który uczynił na mnie tego poranku tak miłe i mocne wrażenie. Starałem się zbliżyć, i poznać dokładniéj tę zajmującą osobę. Opisałem jéj zdarzenie, którego byłem świadkiem, dostrzegłem łez w jéj oczach, domyślałem się, zdało mi się, że zgadłem lecz nie śmiałem żądać potwierdzenia moich domysłów.

Byłoby to ostatnią niewzględnością, badać tajemnicy, która została powierzoną samemu Niebu, i od niego tylko oczekiwała nagrody.

Wspomnienie o Krysztalewiczu (✠)

(Wyjątek z pamiętników rozumowanych.)

—Wilno, jest to przez cztéry *pro*— prozaiczne miasto. Zwłaszcza pod względ-

(✠) Już w czasie, gdy to pisano, Bard Gedyminowego Grodu miewał jakieś smutne o sobie przeczucia. W kilku rapsodach, których autografy posiadamy, powtarza on:

—Weźcie mię, muzy! gdyż w przeciwnym razie
Przybędę do was konno—na pegazie.

dem win i pasztetów, Wilno o całe podniebienie stoi niżéj od Warszawy. Całą przyprawę i poeziję restauracij Wileńskich, na jakiéj od zgonu Żółkowskiego zbywa Warszawie, stanowi Dominus Krysztalewicz, powszechnie acz mylnie nazywany *Bombazym*. Prawdziwe bowiem jego imię jest *Ignacy*, czyli *Żegota*, jak woli być mianowanym.

O godzinie obiadowéj, ledwieś usiadł, rozwinął serwetę i zżymając się na niezwinność posługi, zaczynasz dzwonić nożem po szklance, poeta Krysztalewicz, jak Sylf we szkle zaczarowany, zjawia się powietrznym krokiem przed tobą lub za tobą, i zcicha ale dobitnie wykwila jakiś śpiew sylficzny, łabędzi, równie niepojęty dla śmiertelnych, jak odkryte przez ślepego *Saundersona* podobieństwo między dźwiękiem trąb i kolorem szkarłatnym. Jest jednak coś miłego w tém do-

skonałém niefrasowaniu się o to wszystko, co podobało się ludziom przez wzajemną dowolną umowę, nazywać *sensem*. I rzecz godna uwagi, że poeta ściśle nie dający się odnieść do żadnéj szkoły, obcy wszelkim teorijóm, doskonale nie zawisły i prędzéj naśladowany niż naśladujący, zachowuje przecięż w swoich utworach miejscową pieczęć powietrza i ziemi. Wszystkie improwizacije P. Krysztalewicza są w najwyższym stopniu rzewne, melancholijne, *litewskie*. Pod tym względem nic dodać niemożna do własnych słów poety, tak trafnie podpisanych na jego wizerunku:

I w postawie całéj wedle przyrodzenia,
Jawnie, oczywiście, wcale, bez wątpienia.

Sam nawet *sarkazm* tego poety *exsensa*, (bo sarkazm od niejakiego czasu stał się nieodzownym warunkiem i należy do dobrego tonu w poezji) sam nawet sarkazm poety Krysztalewicza, jest to osrożeniesię

gołębia. Wczoraj miałem tego najlepszy dowod. Wieczorem przez właściwe mi roztargnienie zaszedłem do jednéj z tutejszych winiarni. Znalazłem się w towarzystwie tak słodkiém i liczném, że pomyślałem sobie na wstępie: Któż wie, czy nie zastanę tu jakiegokolwiek *Hoffmanna*? Nie było wprawdzie *Hoffmanna*, chociaż przy każdym stoliku odznaczały się dosyć bogate fantazije, ale zastałem poetę Kryształewicza. Pod trzema tytułami: znawcy win, poety, i oczéwistego rodosłowu wszystkich Kryształewiczów *kryształu*, przypisywał się on do różnych butelek, i każdą pełną i próżną witał i żegnał takiémi szczérozłotémi dwuwierszami i czworowierszami, że zacna połowica gospodarza winiarni, Pani *, ujęta widać talentem poety, czy też pochwycona wirem powszechnéj wesołości, odważyła się mu powiedzieć, że życzyłaby sobie i ma na-

dzieję przejść w jego rymach do nieśmiertelności.

—Będzie to ciężar, nie do pociągnienia!
Mówię z namysłem—oraz od niechcenia

odpowiedział wręcz poeta, i przymrużył oczy: od czego jeszcze skromniejszym, a więc świetniejszym wydał się ten wyskok dowcipu.

Jakoż nie został on nie ocenionym.

— Jeszcze pół tuzina! I jeszcze półtuzina! — zawołali dzwoniąc w szklanki zacni *winofilowie*.

Przytomny temu małżonek Pani *, pocałował swą żonę w rękę, potém w czoło, i rzekł rozczulony:

— O na co ci, moja duszko, i nieśmiertelność!

Sposób na bezsenność.

Encyklopedyczny gaduła Pan *, doradzał choréj na bezsenność Pani H. aby mak piła.

— Jużem go probowała — odpowiedziała chora.

— Ale bo, widzi Pani—rzekł *—na wszystko jest pewny sposób. Mówiąc naprzykład o maku, nie należy zapominać, że z maku robi się *opium*. W nie-

dojrzałym jeszcze maku nacinają się główki, jak to zapewne Pani wiadomo, i tak daléj. Otoż mak w ten sposób pić należy: wypić na raz dwie szklanki i czekać: jeśli snu nie sprawi, nie pić już tego dnia więcéj, ale nazajutrz wypić znowu dwie szklanki i czekać: jeśli snu niéma, broń Boże nie pić tego dnia więcéj, ale aż dopiéro nazajutrz, i tak daléj aż do dni pięciu lub sześciu.

— A nie byłożby to wszystko jedno— przerwała zniecierpliwiona chora, zjeść codzień na noc po kawałeczku chleba— i *czekać*?

Wiadomości nabyte za granicą.

—Wszak byłeś w Rzymie i w Neapolu Panie Ż.; opowiedzże nam cokolwiek, z łaski swojéj, o Włoszech.

—Nie uwierzycie Asaństwo Dobrodzieje, co to są za żarłoki te Włochy. Nakładą ogromną misę sałaty, przyleją garniec najmniéj oliwy, i jedzą tak *ham! ham!*

Pan Ż. były kamerdyner Księcia S. był z nim niemal we wszystkich krajach

Europejskich, i o każdym ma coś równie charakterystycznego do powiedzenia.

Lecz i cóż lepszego o miły Boże! umieją nam powiedzieć nasi dzisiejsi brodaci *turyści?* — o fizijonomji *Fieschi* — o *Ninonie Lassave* — o latach Panny *Saint-Mars*—o karecie *Rotszylda!* o sposobie korkowania Szampańskich butelek!!

Jeśli to nie jest także jak najdokładniejsze *ham! ham!* w swoim rodzaju, to chyba mi już moja niedołężna wyobraźnia nie zdoła przedstawić: jak Włosi jedzą sałatę!

Dumania miłośnika starych czerepów, przed starą chińską porcelaną.

(z *Rossyjskiego.*)

Zawszem miał dziecinne jakieś upodobanie do staréj porcelany. Bo cóż to za miła rzecz stara porcelana!—Gdy mi się zdarza oglądać dom jakiego możnego Pana, nie idę naprzód do galerji obrazów, jak inni, lecz proszę aby mi otworzono gabinet, w którym się zachowuje chińska porcelana.

Dla czego mam to przywiązanie do staréj porcelany, i od jakiego czasu wcisnęły się do mojéj wyobraźni i zachwy-

ciły ją błękitno-białe talerzyki i mali chińscy mandarynowie? nie umiém wam powiedzieć. Pamięć moja nie dochowała w téj mierze żadnych *danych*. Starsze są one od epoki mojego myślenia i gubią się w poetycznym mroku.

Wiém bardzo dobrze, że wiele możnaby zarzucić tym małym człowieczkóm, błękitnawym, nieposłusznym prawóm rysunku i malarstwa, tak śmiesznie poważnym, unoszącym się, na podobieństwo aniołów, w nieoznaczonéj przestrzeni, lekkim jak powietrze i żyjącym w jakimś świecie bez widokresu i perspektywy: wiém o tém wszystkiém, lecz lubię ich i miło mi jest widywać jak najczęściéj moich starych przyjaciół. Kunsztmistrz nie zachował praw odległości,— tém lepiéj; za to my ich nie stracimy z pamięci. Co mi do tego gdzie oni? na ziemi czy w powietrzu? Kunsztmistrz pociągnął

pod chińskiemi tuflami jedną czy dwie prześliczne lazurowe linijki. Dość na tém. Znaczą one zapewne: „nie bójcie się nie spadną!"

Cóżkolwiek-byście mi mówili, ja jednak zawsze będę lubił tych malutkich mężczyzn z kobiécémi nóżkami, i te malutkie kobiéty, jeszcze podobniejsze do kobiét niżeli sami mężczyzni.

Patrzcie tylko: oto maleńki mandaryn, grzeczny, piękniutki, podaje filiżankę herbaty swojéj mandarynce, stojącéj od niego o wiorst dziesięć. Prześlicznie kunsztmistrzu! pojąłeś chińską poeziją! To jest właśnie prawdziwe uszanowanie mandaryna dla swojéj damy: to właśnie przyzwoite oddalenie, w jakiém on powinien znajdować się od niéj.

Daléj nieco taż sama piękność, czy inna piękność (w królestwie porcelany nie można tego roztrząsać zbyt ściśle)

wychodzi z maciupkiéj łódki, i z graciją podnosi swoją drobniuchną nóżkę, na błękitną górę odległą o wiorst dwadzieścia.

Jeszcze daléj; (jeżeli tylko w tym idealnym świecie ma miejsce *daléj i bliżéj*) ukazują się błękitne konie, błękitne pagody, błękitne kwiaty, i tańcują błękitny taniec w tém powietrzno-błękitném królestwie.

Daléj krowa i królik, oboje jednego wzrostu, śpią pod cieniem ledwie dojrzanego błękitnego kwiatka: śpią pod cieniem, a jednak oświeca je z każdéj strony chińskie dobroczynne słońce.

Czyliż to wszystko nie śliczne, nie ładne!

Język powszechny.

(Pazygrafija—Pazyglotta).

—Co to za szkoda, mówił Pan * z mocnym nosowym akcentem (dla którego nazywanym on jest powszechnie *Professorem Wymowy)* co to za szkoda, że ten Pan Wilson wyjechał z Dereczyna. Jaki to był miły i towarzyski człowiek!

—Dziwna rzecz, jak mogłeś korzystać z jego towarzystwa—odpowiedział Pan C.— Wszakże on nie rozumie ża-

dnego z posiadanych przez Ciebie języków, ani polskiego, ani chłopskiego, a tylko mówi po angielsku i po francusku!

— A na miłość Boską! zawołał z zapałem Pan *, podnosząc zamaszystą rękę.

Pan C. przez rozsądną ostróżność, odstąpił na parę kroków.

— A widzisz! rzekł *Professor* z największą spokojnością, że są i inne sposoby rozumienia się!

Roskosz obok boleści.

Jak błogosławionymi od Nieba są ci, co doznają nieszczęść i strat, tylko na majątku!

Rany te serca, prawdziwie są trudne do zabliznienia. Wzbraniają się one lekóm; i fibry je otaczające drżą z boleści, ilekroć chcemy przyłożyć do nich gojący plaster. Rozkazać naówczas oczóm, aby były suchémi, łkaniom, aby zamilkły, byłoby to może zniszczyć to,

co mamy najlepszego z łaski Niebios; ponieważ ta szacowna cząstka nie należąca do naszego materjalnego bytu, jest oraz świątynią, zewnątrz któréj niéma bytu moralnego.

Stoicy utrzymywali, że szczęście jest w nas samych. Serdecznie zły za to na Stoików. Bo istota czuła żyje rownie życiem innych, jak i własném.

Ukażcie mi człowieka, który się zrzekł swojego urzędu lub dochodu: pochwalę, jeśli chcecie, jego piękną duszę; jeśli tenże sam człowiek zrzekł się całego swojego majątku, będę mógł naganić jego nierostropność; lecz jeśli zaniedbał i pogardził bez żalu tkliwą i czułą przyjaźnią, wskażcie mi która go kryje mogiła, i jaką część tego świętego przytułku w lod on obróci!? abym mógł szczęśliwie ominąć tę mogiłę.

Wy, którzy po stracie ukochanego

przedmiotu nie wierzyliście czasem, iż umarli mogą opuszczać groby, i że Niebo litując się nad waszemi łzami, może odmienić porządek przyrodzenia; nie mniemajcie żeście kochali! Wy zaś którzy przypisujecie filozofji, lub pobożnemu poddaniu się woli Nieba, prędkie zapomnienie strat waszych, nie mówcie nigdy o swojém przywiązaniu!

Są ludzie, którzy pod płaszczem mądrości poklaskują sobie, iż są niedostępnymi cierpieniom życia: wątpię bardzo, aby ci ludzie mieli niezawodny sposób do uprzyjemnienia życia. Przedwieczny tak pomięszał pociechy tego świata z przykrościami, że nikt z nas nie może mieć udziału w jednych, nie obciążając się cząstką przynajmniéj drugich. Opatrzność sprawiedliwa!

Kochać jest to podwajać swą istność, podzielać dwa przeznaczenia. Bez wą-

tpienia wystawiamy się tym sposobem na częstsze obawy. Bo jakże nie śledzić niespokojném okiem łódki, którąśmy sami odwiązali od brzegu, i któréj powierzyliśmy wszystkie nadzieje naszego przyszłego szczęścia?

Tracimy dziécię pełne nadziei, doświadczonego przyjaciela, ukochaną siostrę lub żonę, najlepszych ze wszystkich przyjaciół: podbija nas smutek, wszystko staje się niemiłém, wszystko, prócz naszéj boleści; przeszywa nas ona, lecz jest nam miłą. Napróżno-by nam mówiono o niewysłowioném szczęściu, jakiego doznaje stracona przez nas osoba: chcielibyśmy albo dzielić się z nią tém szczęściem, albo pociągnąć ją na ten padoł płaczu.

Jeżeli opłakujecie człowieka, którego naźwisko lubiły powtarzać wasze usta, lub którego ostatnie słowa dotąd jeszcze brzmią mile w waszych uszach, powia-

dam wam, że będziecie unikali pocieszycieli, będziecie się ujmowali ich pociechóm, podobnie jak stary Jakób i przywiązana Rachel. Przyjdzie atoli czas, gdy pamięć opłakiwanéj przez was osoby, zamieni się w mile tylko o niéj wspomnienia. Wtenczas to z upodobaniem rozpamiętywać będziecie jéj słowa, uśmiech, postawę, takie nawet szczegóły, które czas mniemał posiadać wyłącznie: liczba tysiączna spadnie naówczas, pomimo waszéj woli, na papier, lub korę bliskiego drzewa, i będziecie powtarzali, jak Petrarka w swych listach: — „Ujrzałem po raz piérwszy Laurę roku tysiąc trzysta dwudziestego siódmego, „dnia szóstego Kwietnia, o godzinie „piérwszéj z południa".

z Kératry.

Marzenia.

Jedno i drugie równie rzadkie: jednak cnota kobiéca więcéj mi się podoba od naszéj. Nie jest ona skutkiem głębokich rozmyślań nad przeznaczeniem rozumnego stworzenia, lecz instynktową jakąś skłonnością ku dobremu: a podług moich marzeń, taka jedynie cnota może być doskonale czystą.

Cnoty wynikające z rozumu i obmyślanego uszanowania ku prawu, (jak-

kolwiek je wynosi filozofija krytyczna) mam za niższe daleko, bo już się zasadzają na jakimś rachunku. Nie przeczę iż to jest najszlachetniejszą z rachub ziemskich, może nawet nie unikniona w płci naszéj. ztémwszystkiém jeślibym posiadał ten cudowny talizman, jaki miał niegdyś jeden z najlepszych i powszechnie kochanych władzców wschodu, i za jego pomocą mógł sądzić o szczérości oddawanych mi hołdów, dalekobym wyżéj raczył cenić i szczodrzéj wynagradzał dań serca, niżeli dań rozumu.

Wiém — jakbym już patrzał w talizman—że odważono-by się zaraz umianować to sentymentalnością — jedyną słabością w Padyszachu!

Lecz i cóżby mógł mieć ten wrzask tłuszczy—do mojego przekonania!

Do Mallbransza i do Jarosza Bejłły.

Wiadomo, że *Mallebranche* był zawziętym nieprzyjacielem poezji, z powodu iż ta biédna poezija *niczego nie dowodzi*. Chlubił się on jednak szydersko iż był autorem dwóch wierszy następnych:

„Cieszmy się bracia tak pięknéj pogodzie
„Do konnéj jazdy, po ziemi i wodzie.

Gdy mu zarzucano, iż się nie jeździ konno po wodzie, odpowiadał poważnie, że dla miłości końcowek, najlepsi poeci dozwalają sobie podobnych wolności.

Za dni naszych, Bejłła, którego potężnych syllogizmów, sześciu mężow ta-

kich *jakie dziś ziemia rodzi,* ani z miejsca ruszyć nie zdoła, jawnie i zcicha ustnie i na pismie, okazuje również nieuszanowanie dla mowy wiązanéj.

Nie przytaczając heraldycznych dowodów o starożytności i *parenteli* poezji, (przy czém łatwo byłoby okazać, wbrew wszystkim pozoróm, zamienionym już niejako w przekonanie, że ona-to jest właśnie swobodą i przyrodzoną mową człowieka, a proza sztuką wybolałą i wynikłą z prawideł): weźmiemy tu przykład jaki się nam nawinął pod rękę:

—W 33 numerze *Tygodnika Petersburskiego* na rok 1839, w *Kiechdzie* pod tytułem: *Królowa Morza Baltyckiego* (przypisanéj na pamiątkę *Helenie z Frejendów Górskiéj* przez bezimiennego: Autor oznaczył się dwóma N. N.) w czystym i ozdobnym kawałeczku prozy, znaleźliśmy w wielu miejscach tyle harmo-

nji metrycznéj i tyle wierszy rozprowadzonych prozą, że albo Pan N. N. musi być poetą z powołania i rzemiosła, albo się nie domyśla, jakby mu była posłuszną harmonija, jeśliby jéj zawezwał *in forma juris?* (*)

Następujący, naprzykład, wyjątek:

„Słyszy to rybak, patrzy zdumiony i „oczóm swoim nie wierzy: co tu ma po„cząć sam nie wie, wreście ujęty zdra„dną ponętą" i t. d.

(*) Teraz znamy już imię Autora téj ładnéj *Klechdy*, (patrz: *Wspomnienia Zmudzi*). Dowiadujemy się przytém że i bez naszéj rady, wzywał on muz *in forma juris*; ale za wdaniem się wydawcy *Tyg. Petersburgskiego*, zaniechał dalszego z niémi procederu. Sliczna to rzecz zapewne, najświętsza, i ach! jak rzadko (mianowicie w podobnych razach) widziana: raczéj odstąpić swego, byle zostać i zostawić innych w pokoju! — Po kilku wszakże latach, zwłaszcza jeśliby muzy piérwsze były stroną powodową i zaczepną, sądzimy że Autor sumiennie i korzystnie mógłby odnowić proces z témi paniami.

bez najmniejszego musu, da się zamienić na ładny i harmonijny czworowiersz:

„Słyszy to rybak, patrzy zdumiony
„I oczóm swoim nie wierzy:
„Co tu ma począć sam nie wie;
„Wreście ujęty zdradną ponętą."

Albo następujący:— „Rybak był młody i piękny: czoło prześliczne wysokie „i białe" i t. d.

„Rybak był młody i piękny;
„Czoło prześliczne, wysokie i białe."

Teraz odpowiadaj nam, Bejllo! czyli te wiersze zagrzebane w prozie, jak kasztany w popiele, nie są istotną ozdobą, miazgą i *cementem* waszéj bezdusznéj prozy? Czyli nie one-to stanowią urok stylu i nadają damasceński hart twoim syllogizmóm?

Odpowiadaj nam, Hrabio Bejllo, za siebie i za Mallbransza!

Sny.

Sny nasze jest to prawdziwa arfa eolska, a nasze uczucia, zamysły, nadzieje, wiatrem obudzającym w niéj jęki. Niekiedy, podobnie jak niespodziany przelotny powiew wiatru, jakakolwiek myśl niedokończona lub niesfornie połączona z innémi, odradza się w potwornych marzeniach: widzimy natenczas bucentaurów; jednak pierwiastki téj złożonéj poczwary snuły się już niegdyś w naszéj głowie.

Sny możnaby jeszcze porównać do mamideł lekkowiernéj nadziei, która usuwa z przed naszych oczu wszelkie niepodobieństwa i przeszkody. Lub możnaby porównać do niedorzecznych marzeń miłości własnéj, uszczęśliwionéj iż się wyśliznęła z pod zrzędnéj władzy rozumu, i bujającéj swobodnie śród swojego żywiołu, czczości.

Och! co za to ostatnie porównanie, to jeślibym był *Pinettim,* zdjąłbym sobie ostróżnie głowę, i ucałowałbym ją najserdeczniéj.

Bądź co bądź, ale sny rzeczywiste bywają daleko cudowniejsze, pocieszniejsze i nawet logiczniejsze od usiłowanych Hoffmannowskich.

—Posłuchaj tylko co mi się śniło?—Ale może śpisz jeszcze? No! to dzień dobry!

I z tym dobrydzień upadła mi na twarz szlafmyca.

Tymczasem gość mój śmiał się jak utrapiony.

—Posłuchaj tylko! Jadę sobie niby z moim Jakóbem, z tym samym, którego talent wódczany zawsze podziwiasz: wtém pomijając jakiś wielki śpichrz zbożowy, konie nasze zaczęły się narowić. Jakób to upominał je, to chłostał biczem, a jam przypatrywał się tymczasem niewielkiéj czworokątnéj dziureczce, jakie we drzwiach śpichlerzy zostawiają się umyślnie dla wejścia kotóm. Jedną razą, koń chodzący na lejcu, który był zwykle promotorem bryków, maleje, maleje, wymyka się z zaprzęży, i wbiega w tę kocią dziureczkę. W oka mgnieniu, dwaj dyszlowe robią toż samo, i myśmy w pilnéj podróży, zostawieni bez koni.

—No, czy masz ty, pytam ciebie, uwagę, czy masz rozsądek? Cóż teraz będziesz robił z tym swoim biczem?—

mówiłem do Jakóba. — Nie wyprosisz już stamtąd ani czapką lejcowego: bo on pewnie po szyję teraz w owsie! I kto wie, czyj to śpichlerz? może jakiego nieużytego człowieka, co jeszcze nas zapozwie, żeśmy umyślnie i ze złym zamiarem pod jego śpichrz podjechali!—

—I niech Pan będzie spokojny i posiedzi tu sobie troszeczkę tymczasem. A ja duchem zbiegnę do karczmy, i jak z łaski pańskiéj wypiję kieliszek wódki, to nic mówiąc nikomu, wlazę sam pocichutku w tę dziureczkę i nazad je wyprowadzę."

—I na tém koniec? spytałem poziewając.

—A czegoż Ci jeszcze trzeba, do stu tysięcy!! Jeśli potrafisz, aby ci się przyśnił sen podobny, budź mię pozwalam, choćby o północy.

—Zgoda! otoż i twoja szlafmyca z powrótem!

Kot Kartuzki.

Moncrif, autor bardzo dowcipny, napisał grubą księgę na pochwałę kotów. Zwierzę to przy wielu wadach i nader małéj liczbie zalet, nie zasługuje zapewne na tak długi panegiryk. Zmyślność jego ogranicza się jedynie *myszołowstwem,* i tylko przez wrodzone łakomstwo bywa niekiedy zaostrzaną. Przytoczymy z tego względu przykład sławne-

go *Angory*, kota Kartuzów, którzy mieszkali niegdyś w Paryżu na ulicy *Piekielnéj*.

Jednego dnia, brat kucharz przygotowawszy wszystko do obiadu, postrzegł że mu nie dostaje *porcji* smażonego karpia. Sądząc że się pomylił w rachubie, dopełnił jéj bez namysłu. Nazajutrz, za nadejściem obiadowéj pory policzył ryby dokładniéj i zajął się ich urządzaniem. Przyszło rozdzielić sztuki; znowu braknie jednéj. Rzecz zda mu się nie do pojęcia: postanawia jéj dośledzić. Dnia następującego liczy sztuki z jak największą uwagą, a nawet niedowierzając sobie, kilkakrotnie. Podczas, gdy już po raz czwarty odliczał, daje się słyszéć dzwonienie. Wybiega otworzyć i nie znajduje nikogo. Powraca z gniewem do stołu... Serce mu gwałtownie zabiło, żywy rumieniec wystąpił na twarz, widzi że zno-

wu nie dostaje jednéj sztuki. Co myśléć o tém zniknieniu w oczach?— Sam przecie tu tylko jestem! — zawołał wyszedłszy z osłupienia. Czary! czy upiory?— Dręczony tą myślą, zachowując wszakże najgłębsze milczenie, postanawia nazajutrz zasiąść czaty na upiora. O tejże saméj co i wczoraj godzinie brzęk dzwonka daje się słyszéć. Brat kucharz zamiast do drzwi, pośpiesza za wielką kredensową szafę i cały przemienia się w oczy. Niebawnie pojawia się i upiór. Wielki kot klasztorny wskakuje na okno, oprowadza po kuchni badawcze spójrzenie i nie postrzegając nikogo, porywa w zęby co najlepszego karpia i znika. Odkrywszy złodzieja, szło już tylko o odkrycie dzwonnika. Nie mówiąc nic nikomu, kucharz oczekiwał z niecierpliwością jutra. Około godziny obiadowéj, rozpoczął czaty w pobliskiém oknie. Angora wskakuje na pień

stojący pod dzwonkiem, czepia się obiema łapami i pociąga mocno za sznurek, potém jednym susem staje na oknie od kuchni, porywa ze stołu rybę i już jest na dachu.

Gdy się to doniosło do Przełożonego, powiada Autor, z któregośmy wypisali ten wyjątek, przeznaczył on Angorze, równąż co i piérwszoletnim braciszkóm, na każdy dzień *porcją*, aby mu nadal odjąć pokusę do kradzieży.

Merveilles de l'instinct et de la nature — par Fréville.

Szczury Pana de Latude.

Ci, którzy trawią największą część życia na morzu, tudzież więźnie, rozrywają się niekiedy oswajaniem tych złoczynnych zwierząt. Można mieć o tém wyobrażenie, czytając zajmujące pamiętniki *de Latude*, który jak wiadomo, zrobił z nici swoich koszul tę sławną drabinę, po któréj spuścił się z wież Bastylji.

—Długo, powiada ten znamienity więzień, liczyłem między mojemi cierpieniami fizycznemi, szczurów, które gromadnie przychodziły szukać przytułku i pożywienia w mojéj słomie. Nieraz gdym spał przebiegały mi one po twarzy, nieraz ich ukąszenia nabawiały mię nieznośnych

bolów. Nie mając środków do obrony, a będąc przymuszonym żyć z nimi pospołu, postanowiłem ich nawrócić i zamienić w przyjaciół. Szczęściem panowie ci nie długo się drożyli z przyjęciem mnie do swojego towarzystwa. Im to winienem jedyną rozrywkę, jakiéj doznałem w ciągu trzydziesto-pięcio letniego mojego nieszczęścia.

Do ciemnicy, w któréj byłem zamkniętym w Bastylji, światło jedyny miało przystęp przez strzelnicę, u spodu któréj leżał długi kamień, służący mi zamiast siedzenia i stołu. Do tego to miejsca wlokłem się pospolicie, ilekroć osłabiony leżeniem na wilgotnéj i swędnéj słomie, chciałem odetchnąć czystszém powietrzem, lub rozegnać okropne myśli.

Siedząc jednego razu u strzelnicy, postrzegłem naprzeciw wynurzającego się dużego szczura. Zawołałem nań, nie uląkł

się i spoglądał na mnie śmiało. Rzuciłem mu zlekka kawałeczek chleba. Podszedł, wziął rzucony kąsek i cofnąwszy się z nim o kilka kroków, zbliżył się wkrótce znowu i zdawał się prosić o drugi. Rzuciłem mu go, lecz już bliżéj nieco, trzeci jeszcze bliżéj, i tak daléj aż póki mi stało chleba. Postrzegłem, iż po uśmierzeniu głodu, złożył on drobne ostatki w pobliskiéj norze.

Nazajutrz pojawił się znowu. Byłem również wspaniałym, dodałem nawet kawałeczek mięsa, które, ilem miarkował, lepiéj mu smakowało od chleba. Tą razą jadł on już w mojéj przytomności, czego wczoraj nie uczynił. Na trzeci dzień oswoił się ze mną do tyla, iż przyjmował dary wprost z mojéj ręki. Nie wiém, gdzie miał uprzednie mieszkanie: lecz zdało się mi, iż chciał je zamienić na inne mnie bliższe, gdyż oglądał bacznie dwie nory,

będące po obu stronach strzelnicy, i dnia piątego przeniósł się nawet na nocleg do nory prawéj, która mu się zdała wygodniejszą. Nazajutrz miałem odwiedziny bardzo wczesne: gość pośniadał u mnie i nie pokazał się aż do następującego jutra. O zwykłéj porze nieomieszkał oddać mi dobrydzień, lecz tą razą dostrzegłem, że nie był sam jeden. Gdy wychodził z nory, ujrzałem wyglądającą za nim samiczkę, która zdawała się szpiegować, cośmy z sobą robili? Napróżno ją przywabiałem, rzucałem chleb, mięso: okazała się zrazu nieźmiernie bojaźliwą. Wszelako ośmieliła się powoli wyjść z nory i wziąć to, com położył w połowie drogi. Czasem ubiegali się oboje z samcem do jednego kąska, a gdy samce udało się być zręczniejszą, uciekała ze zdobyczą do nory: wtenczas samiec szukał pociechy u mnie, i na ukaranie swojéj połowicy, po-

żywał nową cząstkę zdaleka od nory, aby mu jéj samica odebrać nie mogła: lecz umyślnie zdawał się jéj ukazywać swoj kąsek, i usiadłszy na dwóch łapach, jak małpa, zajadał mięso, z miną naprzemian to dumną, to drażniącą się. Jednego dnia, miłość własna samki przemogła nad bojaźliwością. Wyskoczyła nagle z nory, porwała zdobycz, któréj mąż jednak nie wypuszczał z pyszczka, i po długiém passowaniu się, wciągnęła z sobą samca do nory.

Jaką sprzeczność z mojemi cierpieniami i przypomnieniami, czynił ten widok! Z trudnością można pojąć w zgiełku świata, aby podobna rozrywka mogła zatrzymać uwagę i wzruszyć przyjemnie. Ale źle mówię: ci którzy umieją niekiedy wejść w siebie samych i posiadają duszę czułą, potrafią ocenić przyjemność tego rodzaju. Lecz porzućmy uwagi, któreby

nas daleko zaprowadzić mogły: wróćmy do moich niewinnych towarzyszów. Wołałem ich, skoro mi przyniesiono obiad. Samiec przybiegał, a samica jak zwykle zbliżała się opieszale i z trwożliwością: nakoniec odważyła się podejść aż ku mnie, i niebawnie przyzwyczaiła się jeść z mojéj ręki.

Wkrótce pojawił się jakiś trzeci jegomość. Ten mniéj był trudnym: za drugiémi odwiedzinami stał się domowym, i widać że mu podobało się nasze pożycie, bo chciał aby i inni jego towarzysze poprzyjaźnili się ze mną. Nazajutrz powrócił w towarzystwie dwóch innych, ci dwaj w przeciągu tygodnia przyprowadzili jeszcze pięciu, słowem w piętnaście dni towarzystwo nasze składało się z dziesięciu dużych szczurów i ze mnie. Nadałem każdemu z nich nazwisko: zatrzymali je i nie omieszkali jawić się podług

dostojności, gdy byli zawólani do mojego talerza; wkrótce jednak musiałem ich oddalić od spólnictwa stołu, z powodu ich nieochędóstwa, i przeznaczyłem im osobne naczynie.

Ogłaskałem ich do tyla, iż się dawały łechtać pod szyją, w czém zdawały się znajdować upodobanie: nigdy jednak nie dozwalały dotknąć się grzbietu.

Często zabawiałem się ich kosztem. Już to rzucałem im kąsek zbyt gorący: łakomę porywały go, parzyły się i rzucały z krzykiem, tymczasem powściągliwsze brały już ochłodzony i chroniły się w kątek dla wzajemnego podziału: już to trzymałem dosyć wysoko chleb lub mięso i zmuszałem ich do skakania.

Jedna samiczka, którą nazwałem *łowijaskółką (ropinohyrondelle)* do tego stopnia wydoskonaliła się w dawaniu susów, i tak była pewną swojéj wyższości, iż na-

wet nie raczyła spółubiegać się z innemi mniéj lekkiemi skoczkami. Gdy inne skakały, przybierała ona taką postawę, jaką przybiera pies czatujący na zwierza, i wtedy dopiéro dawała skok, gdy widziała, iż który z jéj towarzyszów już już dosięgał kąska. Skok ten bywał zawsze niemylny, lub jeśli niekiedy mylnym bywał, biada temu, kto potrafił być zręczniejszym od *łowijaskółki!* Chwytała go za grzbiet, zagłębiała w nim zęby ostre jak szpilki, i przymusiwszy upuścić zdobycz, zjadała ją, podczas gdy mniéj bitny spółzawodnik leczył się w kącie z ran odniesionych.

Mniéj jak w rok gospodarka moja powiększyła się do dwudziestu sześciu szczurów. Byłem pewny że nie było cudzoziemców, gdy ci, ilekroć osiedlić się chcieli w mojéj ciemnicy, byli bardzo źle przyjmowani, i musieli staczać bój

z dawniejszemi osadnikami. Bitwy te nie mało mię rozrywały. Gdy dwaj zapaśnicy stawali w obec siebie, zdawali się sądzić o swojéj sile z samego oka, piérwéj jeszcze nim się z sobą zmierzyli. Wtedy silniejszy klapał zwykle zębami, a słabszy poczynał krzyczéć i cofać się, lecz zawsze nie podając tyłu, z obawy aby przeciwnik nie wskoczył nań z góry i nie zagryzł. Z drugiéj strony, silniejszy nie naciera nigdy z czoła, ponieważ w tym razie naraziłby się na utratę oczu. Sposób jakiego on wówczas używa, jest zabawny i dowcipny. Chroni głowę między dwie przednie łapy, i daje kólka dwa albo trzy razy, aż dopóki środek jego grzbietu nie spotka się z pyszczkiem przeciwnika: wtedy ten ostatni poczyna uciekać, a napastujący korzysta z chwili.

Biją się niekiedy z największą zajadłością, lecz inne przytomne szczury

pozostają tylko widzami pojedynku, nie przychylając się do żadnéj strony. Te małe zwierzątka nie sąż w téj mierze szlachetniejszymi od ludzi?—

(z Frévilla).

Jakby to nazwać.

W roku 18**, w dobrach Księcia S. zgorzała wieś, którą Książe szczególniéj lubił i zabudował według własnego planu.

Kommisarz O. długo się przybierał i namyślał jak ma uwiadomić Księcia o tym wypadku.

Jednego poranku, gdy Książe kopał, podług zwyczaju, w ogrodzie, i wy-

rzuciwszy rydelkiem dwa krety, bardzo był rad ze swojego polowania, O. skorzystał z chwili i po kilku różnokrętnych wstępach, doniósł o tym długo tajonym wypadku.

Jak to! od piorunu! — zawołał Książe. Potém zamilczał chwilę i przydał poważnie, opierając się na rydelku: — „Jak to ślicznie musiało gorzéć! Drzewo było nowiutkie i każda sztuka piłowana!"

Jeśliby to było za czasów Ludwika XIV. objąłby on Księcia i uściskał jak brata.

O tém, jako domyślność swoją, na wodzy trzymać należy.

Przykład piérwszy.

Pan K. — Teraz Petersburg pod każdym względem zabespieczonym jest od nawodnienia. Wyrachowano największą, podług dotychczasowych doświadczeń, ilość przybierającéj wody, pokopano kanały odpowiednéj liczby i głębokości: a przytém jak tylko woda zaczyna przybywać, strzelają natychmiast z dział... —

T. A! rozumiém! rozumiém! — to jest: w morze!

Pan K.—Ja powiadam Asańskwu, że strzelają z twierdzy.

T. A! rozumiém! rozumiém! strzelają z twierdzy, to jest *z fortecy!*"

Słysząc tę rozmowę, dałbym był konia z rzędem, gdybym mógł się podzielić mojém *zadowoleniem* z kimkolwiek drugim: ale na nieszczęście, wszyscy słuchacze byli przejęci takiém głębokiém, prowincijonalném uszanowaniem ku opowiadającemu, że nawet nikt nie dostrzegł, jak przeleciała śmieszność *planetarna piérwszego rzędu!*

Przykład drugi.

Listek za listkiem, gałązka za gałązką, kwiat za kwiatem, wyrastały i rozwijały się w oczach, najpiękniejsze róże, astry, fijołki i tulipany.

Działo się to zimą, na dnie piusowém, czarami najśliczniejszych w świecie palców.

Nadobna czarodziejka, z angielską obojętnością słuchała uwag, pochwał i uwielbień: na zapytanie o przeznaczeniu bukietu, odpowiadała uśmiechem.

Nadchodził dzień imienin *E.* i robota zbliżała się do końca z widocznym pośpiechem. Ciekawość odetchnęła przecięż swobodniéj: bo i może-ż być co obojętniejszego, jak wniosek pół-odgadniony? Jest to lina do połowy rozwiązana: puśćcie ją, ona się już sama roztoczy!

Dniem przed imieninami *E.* wszechwiedny Pan * stojąc za krosienkami, powiedział z właściwym sobie dowcipem, że robota zda się być w zmowie z kalendarzem.

Dawno wiadomo, że piękne kobiéty, w porównaniu z innémi, mają jedną cnotą nadto. Imie téj cnoty *przekóra*. Jest to niewymównie ładna cnota, zwłaszcza jeśli się trzyma w poczwórném przymierzu

z czarnemi oczyma i z niebieskim uśmiechem. Szkoda tylko, że z upływem czasu i ze zmianą okoliczności.... ale też od tych dwóch przyczyn kiedyś pogaśnie i słońce.

Słowem, lubo moja ładna ciocia tak pilnie była zajęta swoją robotą, że nawet nie zwróciła uwagi, jak się zdało, na postrzeżenie wszechwiednego dowcipu, z tém wszystkiém przeznaczenie bukietu zostało odmienioném.

Nazajutrz ofiarowano go osobie ze wszech miar godnéj szacunku, któréj imieniny nie przypadały wszakże ani tego dnia, ani miesiąca.

Dla czegoż biédny mój *E.* stracił tak miłą, i ręczę was, najśliczniéj wypracowaną pamiątkę?— Dla tego, że są ludzie niepowściągliwie domyślni, *fatalnie* dowcipni. W mojéj okolicy, nazywają ich bardzo dosadnie: *wścibitnymi,* a samo rzemiosło tych panów: *wścibitnością!*

Exprompta wścibitnych, pielęgnowane od miesiąca, muszą zabłysnąć zawsze, albo z ich własną szkodą, albo ze szkodą innych. Tak zupełnie, jak każdoroczny fejerwerk w dzień imienin Pani Sędziny Z. Z. — Zawsze staje się tak nieszczęśliwie, że przy zapalaniu, albo sam gospodarz osmali sobie wąsa, albo szwankuje ktoś z gości!

Podanie.

Raz siedząc obok *Aldony*, *Gustaw* czytał Petrarchę. Było to w czasie, kiedy największy z żyjących dziś wieszczów, zamyślał starać się o miejsce nauczyciela w biedném miasteczku nad Wiliją.

Nagle z piersi czytającego wyrwało się ciężkie westchnienie i oczy zabłysły mu łzami.

—Co ci jest?— zapytała Aldona.

—O Boże! gdyby!.... zawołał młodzieniec: i łzy mu puściły się strumieniem.

—Biédny! ty będziesz wyższym od niego! — rzekł jakiś głos wieszczy, który ledwie raz w kilka wieków, i raz tylko jeden w życiu wybranych, daje się słyszéć.

I w tejże chwili postanowiło Niebo, aby Aldona—

Przykłady naiwności.

Felinia:— Panie M. jak po francuzku: *solniczka?*

M. La salière.

Felinia. A woda? Pewnie powiesz: *La wodijer?*

Kostuś (patrząc na wizerunek Chrystusa z globem w ręku) — Papo! Co to Pan Bóg trzyma?

— Cały świat.

— A czyż mu nie ciężko?

—Nie jedz, Tosiuniu, tak dużo śliwek, bo mogą ci zaszkodzić.

— A dla czegoż Mama tak wiele zjadła: więcéj niż *sto*, niż *cztéry*?

— Mamie co innego: bo Mama już stara!

— I nie! Mama jeszcze taka młoda! To dzieci już stare!

—Nie rozsypiaj się! Zmów wprzódy pacierz Kostuńku! A to jak ci się w nocy Bóg ukaże i zapyta: czemuś nie zmówił pacierza?

— Toby dobrze było, Mamo, gdyby się mi Bóg pokazał: bo Bóg pokazał się i świętemu Mojżeszowi!

—Jeszcze mam jeden grzech, ale boję się powiedzieć, bo Jegomość jeszcze komu powie.

—Nie bój się, moje dziécię! nie powiém.

—Poboż-że się Jegomość!

—Przysięgać się nigdy, moje dziécię nie trzeba: ja ci przyrzekam, jak jestem ksiądz, że nikomu nie powiém.

—Znalazłem gniazdeczko w ogrodzie—ale żeby Jegomość wiedział, jakie! Za dni dwa, trzy, już można będzie i wybrać.

—Nie wybieraj moje dziécię! Każdemu swoboda miła.—

Po mszy, proboszcz miał naukę o przygotowaniu się do spowiedzi, i przypominał szczególniéj rodzicóm, obowiązek przysposabiania dzieci do tego wielkiego sakramentu.

—„A to, niektóre dziéci, mówił „proboszcz, spowiadają się *np.* z te- „go, że gdzieś tam za płotem znala- „zły gniazdeczko."

—Ach! zawołał z płaczem jeden ze słuchaczów—A mówił, że nikomu nie powie!

Naiwność zgrzybiałości.

Pan J. (96-letni) — Co to za Panie, takie ładne i postrojone?

— A toż Pani Prezydentowa z córkami! (córka pytającego).

— Ach! bodaj ją! — To czemuż się mi one nie rekomendują?

Mimo uderzającego podobieństwa między dzieciństwem i zgrzybiałością,

które naturalnie stąd wynika, że one graniczą z sobą najbliżéj, jak dwa łuki w punkcie schodzącego się koła (życia); jaka wszakże różnica w naiwności dziecięcia i starca! *piérwsza* wznieca jakiś uśmiech luby, serdeczny; *ostatnia* pobudza do zamyślenia, i wywołuje łzę cichą, niedojrzaną.

Memorabilia o Rosieńskim Judelu.

Najpowszechniejszą i najlepiéj ugruntowaną sławę dowcipu, ma *na Żmudzi,* Rosieński Judel. Jego wyskoki *(saillies, reparties)* krążą z ust do ust, i długo jeszcze tradycyjnie będą śmieszyły cnych Samogitów.

Przytaczając tu parę *arcy-słów* Judela, o których opowiadają krajowcy

ze szlachetną dumą i zawsze z jednym i tymże samym dodatkiem:—„Nu ci kto-by jego spodziewał się-by od Żyda!" nie możemy pominąć uwagi że mieszkańcy dawnego księstwa Żmudzkiego, któremu tak śmiertelnie dali się uczuć Krzyżacy, pomimo to szczególne zdają się znajdować upodobanie *w excentrycznym* dowcipie niemieckim *(Witz)*.

Raz, jeden z obywateli, *à la jeune Samogitie*, który stawał zwykle gospodą u Judela, biegał sobie, gwiżdżąc, wzdłuż i poprzek po zajętéj izdebce. Judel tymczasem w oczekiwaniu roskazów, stał przy piecu. Trzymał on, jak zwyczajnie, ręce za pasem, i to podnosił się zlekka na palcach, to wiosłował piętami. Patrząc na niego, zdałoby się że trzech przeliczyć nie umie.

—Judel! czemu ty mi nie pomagasz

świstać? rzekł jedną razą, zatrzymując się przed nim, pan przyjezdny.

—Nu! na co ja mam pomagać, kiedy Jasny Pan już swoje prześwistał.

A w rzeczy saméj Pan* tylko co przebył exdywiziją, i wyglądał jak świéżo wylęgła gąsiennica. —

Inną razą, chorego Judela wieziono do lekarzy. Było to w nocy. Bryka była wygodna, ugruppowana pierzynami.

—Stój!—daje się słyszéć dobrze znany głos P. Sprawnika. Co wieziecie?

—Chorego.

—O! znam ja dobrze waszych chorych. To kontrabanda! wyrzucać rzeczy!

Wyrzucają w nieskończonym porządku, poduszki, bety, pierzyny. P. Sprawnik się niecierpliwi. Nakoniec odkrywają Judela, i Żydzi wahają się, czy mają go ruszyć?

—Kontrabanda! powtarza tryumfalnie P. Sprawnik.

—„Nu! odzywa się słabym głosem „Judel—Pan S. zdecydował że to *ro-*„*matyzm*, Pan *T.* że *atrytyzm*, a Pan „mówisz że *kontrabanda*. Zgoda, niech „będzie *kontrabanda*! Ja płacę sto du-„katów, każ ją Pan tylko wziąć ode-„mnie!"

—*Nu! ci ktoby jego spodziewał-by się od Zyda!!*

BAJKI.

Szczépce i Świéca.

Na tacce srebrnéj, złoconéj,
Srébrne szczépce rozkraczone
Raz do świécy zapalonéj
Rzekły te słowa pieszczone:
„O świéco jasna! jedyna!
„Jaka jest powiedz przyczyna
„Że od nas stronisz, i pryskasz
„Gdy się do ciebie zbliżamy;
„Cóż że cię na czas stłumiamy?
„Za to potém śliczniéj błyskasz!

„Myśmy tém prawie na świecie,
„Czém są dozórcy domowi;
„Karcą oni, biją dziecię,
„Ku większemu pożytkowi."
Po tych słowach samochwały
Zamknąć gębę zapomniały.
Natychmiast promyk ciekawy,
Wskoczył do niéj dla zabawy;
Znalazł pełno sadzy, łoju,
I rozplótł to po pokoju.

Rzeźnik i Woły.

„Cieszcie się woły! uwielbiajcie człeka!"
Rzekł wchodząc rzeźnik.—„Nuż zaryczcie razem!"
—Czy człek nas nie bić przyrzeka?
—Prawie że tak jest, bo bić będzie gazem.
„Śmierci nie można minąć mili przyjaciele!
„Was zwłaszcza, których często trapi życia sytość,
„Zabijać każe sama nawet litość;
„Wszystko na tém, by skonać, nie dręcząc się wiele.
„Tkliwa na losy zwierząt dzisiejsza oświata,
„Odkryła wielki sposób bić wołu jak muchę,
„Oszczędzić mu boleści i czułości kata....
„I bite gazem woły, dają mięso kruche."

Człowiek i Pająk.

„Pękaty zbrodniu! rzekłem do pająka,
„Czyż ci nie zbrzydło żyć tą zdradną pracą?"
—„Kto mi tam pod nos brzdąka?
Odmruknął hardo ladaco;
„Jeśli nie błądzę, głos to Ewy syna?
„Cóż to? Człek mi już zdrady wyrzucać poczyna?
„Czy dla tego, że wasza cieńsza pajęczyna?"

Potęga zwierciadła.

Gdy z woli Niebios nakoniec wypadło,
Że Błażéj musiał złą żonę postradać,
Chcąc, czy umarła? z pewnością wybadać,
Zbliżył jéj do ust świécę i zwierciadło:
O Nieba! żyć przestała, siliła się gadać,
Przestała ruszać usty, a jeszcze śmiech blady,
Śmiech zgonu, toczył walkę z uśmiechem przysady!

Raj.

W Raju,
Co gdzieś tam leży na świata kraju,
Czy też we środku świata,

O pół mile niemieckie, od strasznego wzgórka
Na którym Kaim zabił swego brata,
(Za co się bratobójcy urodziła córka)
Słowem, w szczęśliwym, łzami niezwilżonym raju,
Gdzie jeszcze chodzić w bótach nie było zwyczaju,
I gdzie z płaczem nie przyszło żadne na świat dziecię
Byłem dziś—Ja sam! jak mnie widzicie!

O panie moje kochane!
Gdybyście wiedziały
Co to jest rajskie życie?
Jakie zabawy!
Jakie ubiory!
Jakie źwierciadła!

Jaki uniform anielskiego półku?
Płakałybyście z radości,
Powiędłybyście z zazdrości,
Pomarłybyście z rospaczy i niecierpliwości!
Lecz ja rychłego nie życzę wam zgonu,
Chociaż wam wiele winienem wdzięczności,
Nie powiem więc com widział?...
Umierajcie powolną śmiercią ciekawości!

Cnota.

Ludzie którzy cnotę czcili
Ten jéj nam obraz skréślili:
„Niewinna, spokojna, tkliwa,
„Piękna, dobra, nieszczęśliwa
„Z nadzieją i wiarą."
Dziś cnotę malują *starą!*

Widziałem ją lice w lice,
Uśmiech i oko kobiéce;
Mógłżem się spodziewać?
Wjéj twarzy i tęsknym wzroku,
Tyle zgubnego uroku
Jak nie powątpiewać!
—To próżność chciwa podboju!
Zostaw ją zostaw w pokoju!
Rzekła mi ostróżność.
Lecz serce tak mocno biło,
Zda się z przysięgą twierdziło:
Ach! nie! to nie próżność!
—Ona tak piękna, tak miła!
Jakżeby próżną nie była?
Nie wierzę ci serce!
Ona tak młoda, ponętną!
Choć odludna, cicha, smętna,
To pożar w iskierce!
—Więc dobrze! może w téj chwili,

Głos twego serca się myli.
Spytaj głosu ludzi!
Prędzéj który z ich sposobów,
Wywoła umarłych z grobów,
Niźli ją ułudzi.

—Prawda-li to dobrzy ludzie!
Co mówią o waszym cudzie:
Sąż jeszcze anieli?
Na to ubodzy ze łzami
Skazując jéj dom palcami
„Tam!" odpowiedzieli.

—Litość jest płci jéj udziałem,
Małoż litościwych znałem?...
Myśliłem z goryczą.
Tych próżniaków wdzięczne głosy,
Wszędy biją o niebiosy,
Gdzie im dary liczą!

Lecz ta, któréj biją czołem,
I zdała zda się aniołem
Jest-że nim dla sługi?

—Powiedz mi dziewczynko miła!
Czy ci się pani sprzykrzyła?
—„Ach! to anioł drugi!"
Suknią, fraszką niepotrzebną,
Łatwo przygłaskać służebną,

Ten płochy rod Ewy!
A wreście w piérwszym lat kwiecie,
Nie starczy czasu kobiecie
Na domowe gniewy!
Lecz czyli ta Roxolana
Jest od sąsiadów kochana?
Wiedzieć chęć mię bierze.
—Panie Marku! Panie Jerzy!
Do was, z żonami, należy
Wydać sąd w téj mierze.
Na to Marek: „Moje zdanie,
„Że to jest anioł Mospanie!
„Szlachcic mi zawierzy!"
—Akuratnym jest Pan Marek
„Jak Bregetowski zegarek!"
Potwierdził Pan Jerzy.
—Ho! i Katony surowe,
Schylały stoicką głowę,
Przed *Porcją* gładką!
Trudno i w późnéj siwiznie
Być sędzią kobiét mężczyznie.
—Wszakże tak sąsiadko?
Emma skinęła mi głową.
—Ta kobiéta sądzi zdrowo!
Pomyśliłem sobie,
—Ty co w sercach umiesz czytać,

„Pani! rzekłem, chcę cię spytać:
„O pewnéj osobie.
„Nie wymienię jéj nazwiska,
„Lecz to sąsiadka twa bliska,
„Widzą w niéj anioła."
—„Dla Panów, aniołów wiele,
„Jednak u nas o aniele,
„Nie słychać dokoła."
—„Ci co Pani nie widzieli,
„Z początku tak rozumieli,
„Zgrzeszyli bez winy."
—„Dziękuję za grzeczne słówko!
„Choć je uważać przymówką,
„Miałabym przyczyny."
—„O Pani! słowo honoru!
„W tobie *odblask pierwowzoru*!"
Rzekłem po niemiecku.
—„Pan żartujesz tak sowicie,
„Jakbyś widział we mnie dziécię,
„Bajki dobre dziecku!"
—„Ach Pani! przysięgam Bogu!
„Niechaj uwięznę w tym progu!
„Tyś nad wszystkie księżny!"
W téj chwili na próg spójrzałem,
I mimowolnie zadrżałem,
Bo dość był potężny.

Po kłamstwach ciężkich i wielu,
Wróciwszy przecięż do celu,
Wznowiłem pytania:
—„Prawdaż, że ta piękność dzika,
„Od ponęt świata unika,
„I oczy zasłania?"
—Cnoty pobudki rozliczne!..."
—Pojmuję! stworzenie śliczne
„Musi być ułomném?
„Pewnie nóżki nie do pary?...
—Nie! nie ma żadnéj przywary,
„Tylko jest zbyt skromném..."
Tu najpiękniejszy z uśmiechów,
Z jakim mówi ojciec grzechów,
Pierzchnął śmiech zazdrości.
On dla cnoty zaświadczenie
Wyższe, szczérsze nieskończenie
Od głosów wdzięczności.
Ledwiem tych słów nie rzekł głośno,
Żegnając Emmę zazdrośną
Niskiemi ukłony.
—Tyle cnoty i urody!
„Cudo!... Ale są dowody."
Myślałem zdumiony.
Wtém kilka chodzących fraków,
Chcę mówić: kilku próżniaków

Zabiegło mi drogę.
—Wybornie! rzekłem sam w sobie,
Jeszcze doświadczenie zrobię,
I pewnym być mogę.—
„Tyś u kobiét w takiéj sławie,
„Naucz mię Panie Wacławie!
„Kto ta piękność dzika?"
On mrugnął w sposób znaczący,
Błysnął pierścieniem niechcący,
Szukał bilecika.
Dotąd jeszcze twoje roty,
Walczą dla obrony cnoty,
Wielki Donkiszocie!
W kłamanych dziejach ich męstwa,
W chlubnych okrzykach zwycięstwa,
Ja słyszę hymn cnocie!
Więc to jest cnota? Tak! ona!
Wszystkie niebieskie znamiona
W niéj zgodnie jaśnieją:
„Niewinna, spokojna, tkliwa,
Piękna, dobra, nieszczęśliwa,
„Z wiarą i nadzieją."

Widziałem ją lice w lice,
Uśmiech i oko kobiéce!
Mógłżem się spodziewać?

W jéj twarzy i tęsknym wzroku,
Tyle zgubnego uroku!
Jak nie powątpiewać!

W czasy gorące
Na łące i t. d.
Krasicki.

Józio biegł z całéj siły,
A za nim stylu
Ciemny kłąb pyłu
I muszki się wiły.
Wtém stanął, ściągnął rękę, uroczysta chwila!
Dognał motyla.
Płochy owad to skrzydła ku słońcu rozwijał,
To roskosznie przymrużał, i rosę róż spijał.
Wtém go cień zdrady owionął,
Palce to Józia ten cień rzuciły,
Sprysnął motylek i w kwiatach utonął,
Józiowi łzy się puściły.

Wierzę i nie wierzę.

Ach! anielska jest w tobie dobroć o płci biała!
Rzekłem, widząc że Dafne muchy odpędzała,
Od kubka, w którym zgubna dla nich pastwa stała.

Na śniadanie ostrygi gdy podano świeże
Dafne połknęła żywcem stokroć większe zwierzę,
Jestże Dafne litośną, wierzę i nie wierzę.

Rada J. J. Russa.

Rybo! gdy dla oddechu otwierasz swe skrzela,
Strzeż się by w nie zdradliwa ość nie ugodziła,
A ty! którego serce przyjaźń otworzyła,
Obejrz, czyli bezbrojna ręka przyjaciela!

O n.

Temu dał uśmiech, temu przyrzeczenie
Tego obdarzył okiem miłościwém
Tego nagrodził przez ręki ściśnienie
Tego zachwycił słówkiem dobrotliwém,
I wszyscy radzi, szczęśliwi, weseli,
Chociaż dawca nic nie dał, a ci nic nie wzięli.
Ach! *i nic* jest wszechmocném na potęgi łonie,
Świat ten powstał z niczego! wierz śmiało Zenonie! *

*) Zeno, naczelnik Stoików, nie przypuszczał aby ten świat miał być skutkiem twórczego: *Stań się!* Prawidłem było u Stoików: *ex nihilo nihil!*

Przypowieść gminna.

Boże! Boże!
Boże! Boże!
Boże! Boże!
—Co? nieboże!
—Chce się chleba!
Robić trzeba!
Robić trzeba!
Robić trzeba!

Xerxes.

Ujarzmiłem pęty morze,
Ale własny cień przeskoczyć,
Ale piorun w chmurze zoczyć,
Któż to potrafi mój Boże! (płacze)

Nagrobek Goethemu.

Jak słusznie wyryć można na Goethego grobie
„Zasnął jak dziecko, przyśpiewując sobie."

Sknera! kura! Poeta i jego żona. Jaje i t. d.

—Czego ta kura tak wrzeszczy straszliwie,
Jak sknera kiedy ubogiemu daje?
—Żona mi na to: kura zniosła jaje,
I chce ogłosić światu o tym dziwie.

ROZMAITOŚCI.

Znajdują się ludzie zaszczyceni szlachectwem, którzy zdają się być tyląż zarzutami przeciw nauce heraldycznéj. Powiedzmy wszakże na obronę nauki, że znajdują się i przedmioty, których uszlachetnić nie podobna, chociażbyśmy użyli najdelikatniejszych odcieni pióra.

Upędzanie się ludzi za darami losu, często wprawdzie pochodzi z mylnych o sprawiedli-

wości wyobrażeń, lecz daleko częściéj z gruntownéj znajomości téj cnot matki. Dobry odstręczony okropnym widokiem ziemskiéj sprawiedliwości, może pójść z rospaczy za tryumfalnym wozem losu; źli idą za nim z konieczności.

Za gniewy domowe, i te małe dziwactwa, których sobie tak często dozwalamy bez potrzeby i przyczyny, największą jest karą, gdy nam zła chwila zeszle jakiego niezmordowanego natręta, który nas zapytuje ustawicznie: dla czego nie jesteśmy weseli? — Chociażby już były podpisane przedugodne punkta z rozumem, te zapytania popsują wszystko.

Możnaby upatrzyć pomiędzy Pindarem i Naruszewiczem, niejakie podobieństwo, od którego zapewne nie odmawiałby się ostatni. Prócz innych na to dowodów i ten przytoczyćby należało, iż oba są twórcami wielu Anakreontyków i pieśni przez nikogo nie śpiewanych.

Nie znam początku farby fioletowéj. Sądziłbym iż powstała z połączenia koloru czerwonego z cielistym, i że ją naprzód wskazały te śliczne fioletowe żyłeczki, które z takiém upodobaniem widzimy na białym ręku, jeżeli nie są podrabiane.

Rozum młodzieńca podlega takiemuż odrętwieniu, w jakiém zostaje niedźwiedź podczas zimy. Kiedy niekiedy tylko zamruczy cośkolwiek, podobnie jak mieszkaniec puszczy, i znowu spokojny, uśpiony.

Patrząc z ukosa we źwierciadło, można w niém widzieć wygodnie twarze i przedmioty, na które wprost patrzeć nie pozwalałaby przyzwoitość. Pod tym to kątem patrzą zawsze, obłuda i zazdrość.

Następujący panegiryk serca kobiécego, lubo panegiryk, nie zdaje się jednak być przesadzonym:

L'onda che mormora,
Tra sponda e sponda,
L'aura che tremola,
Tra fronda e fronda,
E'meno instabile,
Del vostro Cor. (*)

Chcąc być poetą serca, trzeba znać dobrze swój przedmiot. A zatém i Signor Abbate Pietro Metastasio, Poeta Cesareo, nieraz być musiał w smutnéj potrzebie mawiania: „Do „stukroć sto tysięcy! wystrychnięto mnie na dudka!"

Człowiek jest stworzonym do metafizyki niemieckiéj. Nie śmiejcie się!.. Samo położenie dziecięcia w żywocie macierzyńskim powinno was o tém przekonać. Najwięcéj wszakże zdarza się widzieć dzieci trzymających się oburącz za główkę. Ktoby stąd chciał wyciągnąć wniosek, iż dziécię przeczuwa swoje przeznaczenie,

*) Siroe atto. 1 sec. 9.

nie doświadczy od nas oporu, byleby z równą względnością chciał zezwolić na nasze twierdzenie.

Nic w świecie milszego nad dziécię uśmiechające się we śnie. Patrząc na ten anielski uśmiech, trzeba koniecznie uwierzyć piastunce: iż dziécię w téj chwili igra z aniołkami.

Oto, jak mniemam, przykład naiwności! Panna P. była dziś po raz piérwszy w spowiedzi. Po południu młódszy jéj brat zepsuł cacko, i rozgniewany sam na siebie, chciał je wrzucić do pieca. „Nie! nie rób tego! rzekła „mu poważnie mała pokutnica, oddaj lepiéj „ubogim!"

Wiek dziewiętnasty powinien być płodnym w wielkie genijusze. Niéma pisma publicznego któreby nas nie uwiadamiało o jakimś nowym *genijalnym systemacie, teorji genijalnéj, wynalazku genijalnym* i t. d. Bajką jest więc jakoby wieki siliły się na wydanie genijuszu!

Łatwo zgadnąć, że szachy są wynalazkiem azijatyckim. Gdyby je miał wynaleść jaki Europejczyk, a zwłaszcza z czasów błędnego rycerstwa, pewnoby kończyło grę zaszachowanie królowéj nie króla. Co do mnie, ile razy na tę grę patrzę, zawsze zda mi się, iż widzę w osobie kościanego króla, gnuśnego Persa, wiekuiscie siedzącego na podkurczonych nogach i palącego fajkę.

Szczęśliwa prostota dziecinnego wieku! Mając coś mi opowiadać, Tadzio od tych słów zaczął: „Było to dawno, dawno, pierwéj jeszcze nim mię znalazła mama.“ Zapłoniłem się. O jak słusznie Kwintylijan liczy pomiędzy zaletami grammatyka: *nonnulla nescire!*

Uważałem, że ci wszyscy, którzy kibić mają za najcelniejszą piękność kobiéty, i jéj tylko wyszukują! namiętnie lubią składne konie.

Kiedy człowiek może powiedzieć o sobie, iż nie jest ani szczęśliwym ani też nieszczęśli-

wym, wtenczas on jest szczęśliwym niechybnie. Za najpiérwszą niepomyślną w losie jego odmianą powie on zapewne: wczora jeszcze byłem bardzo szczęśliwy!

Nie znam książki bardziéj usypiającéj jak *Połtawa!* (Muśnickiego). Nie wiém czém się to dzieje? „*Działa ryczą, ołowiany grad mu-*
„*szkietów gwiżdży,*" w każdéj pieśni; jednakowoż czytelnik do tyla jest oswojonym z bojową wrzawą, że śród najzaciętszéj walki pochyla głowę, i niebaczny! zasypia.

Ilekroć widzę guwernantkę, zajmującą się dozorem dzieci płci męzkiéj, tylekroć mi się zdaje, iż widzę kaczkę wodzącą kurczęta.

Bakałarstwo jest to równie mechaniczna robota, jak granie na pozytywku, lub robienie pończochy. Kobiéta, nawykła do robienia pończochy, grajek do kręcenia korbą, i wtedy nawet niekiedy wywijają rękami, gdy już będą odłożonemi na stronę narzędzia codziennego

ich zatrudnienia. Podobnież bakałarz gotów jest upominać ściany, przemawiać po cudzoziemsku do much ojczystych, ilekroć będzie w humorze gderania, a żaden mu się z uczniów nie nawinie. Uważałem, że każdy prawie człowiek bawiący się robotą mechaniczną *) bywa roztargnionym, i bakałarz także. Dziś u stołu Tadzio zapatrzył się w stronę, a rosoł od kilku minut stygł w talerzu. Czytaj-że! rzekłem mu, w trybie rozkazującym z naleganiem. *Jedz!* chciałem powiedzieć.

Czekino są to nóty do spania.

Z systematu Kopernika łatwo wytłómaczyć, dla czego tak wiele słabych głów znajduje się na ziemi? Nie mogą one znieść tego ustawicznego jéj krążenia i dostają zawrótu. Jeśliby to nie znaczyło dowodzić przez *koło błędne*,

(*) Na uwagę, iż ludzie oddani pracy umysłowéj, częściéj nas śmieszą roztargnieniem, odpowiém tak jak nasi ojcowie. Uścisnę zacnego *adwersarza* i poproszę go na tabaczkę.

powiedziałbym nawet, że dla téj właśnie przyczyny tak długo nie otworzono oczu na prawdę tego wielkiego odkrycia.

Doświadczyłem dziś cudu niepamiętnego od czasów Orfeusza. Jechałem konno, ale koń niósł mię tak niegodziwym kłusem, że wraz ze mną zdawały się podskakiwać: góry, lasy, pagórki i doliny.

Wieczorem przed imieninami M. wtedy właśnie gdym się przybierał posłać mu bilet z powinszowaniem, wchodzi jego służałec, i donosi mi dzwonkowatym głosem: „że pan, „przysłał go po bilet." Trudno jest miléj zażartować, lub dowcipniéj skorzystać z tego śmiesznego zwyczaju posyłania życzeń oddawna drukowanych.

Mów mi łajdaku! po coś ściągnął rękę do mojéj kieszeni? mów!

Uf! odpowiedziało echo w żydowskim łapserdaku, i zniknęło między kramami.

ich zatrudnienia. Podobnież bakałarz gotów jest upominać ściany, przemawiać po cudzoziemsku do much ojczystych, ilekroć będzie w humorze gderania, a żaden mu się z uczniów nie nawinie. Uważałem, że każdy prawie człowiek bawiący się robotą mechaniczną *) bywa roztargnionym, i bakałarz także. Dziś u stołu Tadzio zapatrzył się w stronę, a rosoł od kilku minut stygł w talerzu. Czytaj-że! rzekłem mu, w trybie rozkazującym z naleganiem. *Jedz!* chciałem powiedzieć.

Czekino są to nóty do spania.

Z systematu Kopernika łatwo wytłómaczyć, dla czego tak wiele słabych głów znajduje się na ziemi? Nie mogą one znieść tego ustawicznego jéj krążenia i dostają zawrótu. Jeśliby to nie znaczyło dowodzić przez *koło błędne*,

(*) Na uwagę, iż ludzie oddani pracy umysłowéj, częściéj nas śmieszą roztargnieniem, odpowiém tak jak nasi ojcowie. Uścisnę zacnego *adwersarza* i poproszę go na tabaczkę.

powiedziałbym nawet, że dla téj właśnie przyczyny tak długo nie otworzono oczu na prawdę tego wielkiego odkrycia.

Doświadczyłem dziś cudu niepamiętnego od czasów Orfeusza. Jechałem konno, ale koń niósł mię tak niegodziwym kłusem, że wraz ze mną zdawały się podskakiwać: góry, lasy, pagórki i doliny.

Wieczorem przed imieninami M. wtedy właśnie gdym się przybierał posłać mu bilet z powinszowaniem, wchodzi jego służalec, i donosi mi dzwonkowatym głosem: „że pan, „przysłał go po bilet." Trudno jest miléj zażartować, lub dowcipniéj skorzystać z tego śmiesznego zwyczaju posyłania życzeń oddawna drukowanych.

Mów mi łajdaku! po coś ściągnął rękę do mojéj kieszeni? mów!

Uf! odpowiedziało echo w żydowskim łapserdaku, i zniknęło między kramami.

Za dni naszych zdaje się przeważać zdanie o doskonaleniu się świata. Lecz znajdujemy się w tym roskosznym błędzie, iż wiek nasz, jeśli nie stanął już na szczeblu doskonałości, to przynajmniéj nie nader jest od niego dalekim. Wprawdzie przez skromność dobrze wyrachowaną, zostawiamy niektóre małe pytania sądowi potomności, jak np. wyjaśnienie niedowiedzionych, i nie mogących być dowiedzionémi przypuszczeń fizycznych, astronomicznych, fizijologicznych, spory o nowoczesznéj poezji, o wypadkach politycznych, o genijalnych dziełach i t. p. we wszystkiém atoli zresztą stanowimy wyroki nie odwołane. Dziwna słabości człowieka! Codzień nazywa on *jutro* mędrszém, a przecięż codzień uważa *dzisiaj* za najmędrsze!

Piękne dowcipy spotykają się! Któż czytając następujące opowiadanie: „Mais j'en„tends l'heure du refectoire qui sonne, ceux „qui, comme moi, sont à la tête d'une com-

„munauté doivent être les premiers à tous „les exercices. En disant cela le moine me „poussa dehors, ferma la porte et comme s'il „eût volé, disparut à mes yeux." *) Któż nie przypomniał sobie zakończenia obrad w Monochomachji?

Wtém brat Kleofas na obiad zadzwonił,
Wypadli wszyscy, jakby ich kto gonił.

Dowcip narodowy, niknący za odmianą szaty, lubo ostatnie trzyma miejsce w taryfie dowcipu, bywa jednak bardzo miłym, jak *np.* następujące wyrażenie: У Олинки Р*** были „отецъ и мать: отецъ — какъ обыкновенно во„дится — Иванъ Ивановичь, мать, Анна Петро„вна." **)

Ile sprzeczności w prawach przyrodzenia! Im jaki przedmiot dalszym jest od naszych oczu, tém wydaje się mniéjszym. Człowiek przeciwnie im daléj jest od nas, tém wydaje się większym.

*) Lettres persanes tome 2 lettre 133.

**) Вся женская жизнь въ нѣсколькихъ часахъ Барона Брамбеуса.

Wszyscy wiemy, że należy obcować z ludźmi rozsądnémi i cnotliwémi, ale nie wszyscy o tém wiedzą, iż rozsądek i cnota mają własność przypodobniającą.

Za naszych czasów poezija zawładała wszystkiém od Cedru aż do Hyzopu. Dziwna to sztuka ta poezija! dziwna władza wyobraźnia! Powiedzieć prozą, że stan pasterski jest szczęśliwym, cnota pożyteczną, kobiéta stałą, byłoby to chcieć sobie żartować z ludzi poczciwych. Poecie przebaczamy te niewinne przypuszczenia.

Bałwany lądowe nieraz są niebezpieczniejsze od morskich.

Jest medal bity za czasów Dyoklecijana z napisem: *Nomine Christianorum deleto!*— Pomylił się Tyran, lecz jakże krwawém musiało być prześladowanie! Pomimowolnie przychodzą na myśl słowa Tertulijana, iż „krew była nasieniem Chrystijanizmu!"

Czas jest ojcem wszystkiego, a zatém i naszym ojcem. Teraz pomyślcie jak się z nim obchodzicie!.. Niewdzięczni, wyrodni synowie! nieraz wypychacie go za drzwi ręką świętokradzką, nieraz życzylibyście w duchu widzieć go na marach; podnieślibyście nań nawet rękę ojcobójczą, jeśliby nie był nieśmiertelnym.

— Ale bo też, mówicie, staruszek bywa niekiedy przykrym do niezniesienia, dokuczy do żywego...

— A gdyby i tak było! Tyś wziął od niego życie, majątek, i przez wdzięczność odesłałeś go do izby czeladnéj!...

Ach! daruj łaskawy czytelniku! Wiecznie zapomniałem że tu mowa o czasie. Zdało mi się, że kończę niedawno mianą rozmowę z Sędzicem *...

Czy nie możnaby dla rozmaitości, zamiast wyrażenia *przyjść na świat*, używać toż znaczącego: *przyjść na płacz*?

Rozwód w dawnéj słowiańszczyznie рас-пустъ. Nie stąd-li czasem polski wyraz: *rozpusta*? Jeżeli tak, na cóż te długie rosprawy o godziwości lub niegodziwości rozwodów? Po rozstrzygnienie ich dosyć jest pójść do słownika.

Napastowała mię rozdrażniona osa. Broniłem się walecznie ręką i kapeluszem. Wtém kiedy napad i obrona były najzaciętsze, obudziłem się. Podnoszę spoconą i zadziwioną głowę. Najpiérwszy przedmiot osa brzęcząca koło poduszki. Był-li to sen magnetyczny? jak się mówi uczenie, czy tylko lekki sen poobiedni? jak się mówi po prostu—niech rozstrzygną psychologowie!

Rozumiałbym iż na zasadzie zwyczajnych miechów, można robić wielkie, i w czasie pożaru zapobiegać zgubnym skutkom wiatru, nadając mu kierunek dowolny. Dla czego nad tém nie pomyślą? Ja z mojéj strony, dla tych zbawiennych miechów, ofiarowałbym naźwisko:

wiatro-zwróty lub *wiatro-pędy*. Pocieszcie się cienie nominalistów! Jest wyraz, rzeczy niéma!

— Czy widzisz moje dziécię! ten śliczny wizerunek Hrabiny, bawiącéj się z małpą?

— Widzę mamo! Bardzo piękny! zda się że patrzą na mnie!... Ale proszę mamy! któraż tu Hrabina? a która małpa?

DOMÓWIENIE.

Łaskawy Czytelniku!

Jeszcze raz w tém miejscu przejmuję cię z przemową. Nie jest to nikczemny wybieg autorski, na przypadek, jeślibyś miał zacząć czytać od ostatniéj karty, bom daleki od naganiania tego zwyczaju, i cała moja ramota, jak sam raczysz widzieć Dobry Czytelniku! wolną jest Bogu dzięki! od ckliwéj zalety ścisłości i porządku! Nie mam tu mówić o sobie i o moich przodkach, jak to niegdyś czynił rozpieszczony przez Ciebie *Jedediah Cleisbotham,* który, mowiąc nawiasem,

odrwiéwał Cię Kochany Czytelniku najdłużéj i najbezkarniéj ze wszystkich pisarzy. Ani też będę Cię przepraszał za moję *nieudolność*, bo nieszczęściem czuję ją prawdziwie, i mam w sobie coś tak bardzo szlacheckiego, iż jeszcze onego czasu, w szkołach, nigdy nie można mię było znaglić do przepraszania P. Dozórcy, chociaż to było nieuchronnym obrzędem dla każdego *podnoszącego się ze stołka*. Nie przychodzę Ci winszować nowego roku, bo chociaż życzę Ci najlepiéj, (Boże mi w tém dopomóż!) i chociaż pod hasłem *Noworocznika* *) uchodzą takie nawet fraszki, jakie nie mogłyby znaleść miejsca w najlichszym z romansów, (świadkiem to pisemko!); atoli powinszowania na rok nowy, są dziedziczną i przez nikogo dotąd nie zajechaną spuścizną kalendarzów.

---

*) Chaos w piérwszém wydaniu miał spełniać funkcija *Noworocznika*.

I dla czegoż więc zastanowiłem Cię tu Kochany Czytelniku? Mam-li wyznać otwarcie?... Chciałem Ci przypomnieć ten tkliwy, i na zawsze pozostający w pamięci, naszego życia szczegół, gdy Cię rodzice wyprawiali do szkół, pod opieką sędziwego pedagoga, gdy mu twój ojciec zalecał pokilkakrotnie: aby Ci w niczém nie przepuszczał, aby karał każdą twą swawolę, boś krnąbrny, nieposłuszny, rospuszczony—i gdyś już przestępował próg rodzicielski z swym mistrzem, czy pamiętasz jak go natenczas wstrzymała raz jeszcze twa matka? Spójrzała ona tylko na twego anioła stróża, lecz w tém spójrzeniu nie malowałyż się słowa: „Miéj wzgląd na moje dziécię!".

Czytelniku! przemawiam do Ciebie słowy twéj matki!

SPIS RZECZY.

	Stronica
Kilka słów od Wydawcy	v
Wiersz do Baki i do Czytelnika	9
Zamiast przemowy	13
Pożegnanie 1834 roku	17
Wam! którzy się poczuwacie	21
Nos	27
Oko	33
Herbata	37
Zemsta	45
Logika	49
Pojednanie	55
Kij	59
Muzyka i Deklamacija	63
Spójniki	67
Noli me tangere	71
Filologija	75
Przyrodzona różnica stanów	81
Wiosna	85
Jesień	87
Ja	91
Rozmowa dwóch dzikich	93
Rozmowa dwóch białych	95
Sevigné	97
Hardouin	101
Homer	105
Mowa	109
Czasowanie	111
Poezija i Wymowa	113
Pożar	117
Burza	123
Cholera	125
Autor i Famulus	127
Wspomnienie (Reminiscentia)	129
Madona Ariosta	131
Nauki	133
Potomność	135
Życie	137
Jeżeli. Azali. Gdyby	139
Natura horret vacuum	141

Stronica.

Ciekawość 143
Pyrrus i Cyneasz 145
Pewniki do ogółu Pewników 149
Próżność 151
Xiężyc 155
Autor sobie rozpamiętywa 157
Rozum 161
Cogito! ergo sum! 163
Rozdziałek na prośbę mojéj żony 165
Piérwszy Człowiek 169
Filozofija Zemsty 173
Obłuda 175
Historija 179
Fiziognomonika 181
Zawiść Literacka 183
Płaszcz 185
Wspomnienie o Krysztalewiczu 191
Sposób na bezsenność 197
Wiadomości nabyte za granicą 199
Dumania miłośnika starych czerepów przed starą chińską porcelaną (z rossyjskiego) 201
Język powszechny (pazigrafija-paziglotta) 205
Roskosz obok boleści 207
Marzenia 213
Do Mallbransza i do Jarosza Bejłły 215
Sny 219
Kot Kartuzki 223
Szczury Pana de Latude 227
Jakby to nazwać 237
O tém, jako domyślność swoją na wodzy trzymać należy 239
Podanie 245
Przykłady naiwności 247
Naiwność zgrzybiałości 251
Memorabilia o Rosieńskim Judelu 253
Bajki: Szczépce i Świéca 257
Rzeźnik i woły 258
Człowiek i Pająk. Potęga źwierciadła. Raj . 259
Cnota 260
Józio i Motyl. Wierzę i nie wierzę 267
Rada J. J. Russa. On 268
Przypowieść Gminna. Xerxes. Nagrobek Goet. 269
Sknera! kura! Poeta i jego żona. Jaje i t. d. —
Rozmaitości 271
Domówienie 287

BIBLIOTEKA NARODOWA
1334/Heft.

NOWE DZIEŁA

Nakładem i drukiem Xięgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego

w Wilnie wydane.

1. Szkice Obyczajowe i Historyczne przez *J. I. Kraszewskiego*. in 8vo. na pięknym papierze:

Powieść piérwsza: *Całe Życie Biedna*. 1 Tom.

Powieść druga: *Mistrz Twardowski*. 2 Tomy.

Powieść trzecia: *Pan Karol*. 1 Tom.

Powieść czwarta: *Historja o Bladéj Dziewczynce z pod Ostréj Bramy*. 1 Tom.

Powieść piąta: *Stańczykowa Kronika*. 1 Tom.

Powieść szósta: *Cztéry Wesela*, z dodatkiem *Było nas dwoje*. Z trzema rycinami. 2 Tomy.

Powieść siódma: *Poeta i Świat*. 2 Tomy.

Powieść ósma: *Ostatnia z Xiążąt Słuckich*. 3 Tomy.

2. Wilno od początków jego do roku 1750. przez *J. I. Kraszewskiego*. in 8vo majori 4 Tomy na pięknym papierze, ozdobione portretami, widokami znakomitszych świątyń, gmachów i planami Wilna. 4 Tomy. Dzieło zupełnie skończone.

3. Studja Literackie przez *J. I. Kraszewskiego*. in 8vo. na pięknym papierze.

4. Słownik Łacińsko-Polski przez *X. Floryana Bobrowskiego*, wydanie nowe i znacznie powiększone. Oba tomy in 8vo maj., zawierać będą miasto 80 prospektem zapowiedzianych górą 100 arkuszy ścisłego, pięknego i wyraźnego druku. Tom Iszy już wyszedł z pod prassy i Szanownym Prenumeratorom wręczony został. Tom IIgi pod prassą.

5. Pojata Córka Lezdejki albo Litwini w XIV wieku. Romans historyczny przez *F. Bernatowicza*. Wydanie 3 poprawne, ozdobione winietami i piękną okładką.

Pisma Edwarda Marjana. 3 Tomy. 18.

Ostatni Upior w Bielehradzie. Dosłowny wyciąg z Kroniki Czeskiéj wieku XVI. podał *John of Dycalp*. in 12. na pięknym papierze.

POD PRASSĄ:

Obrazy z Życia i Podróży przez *J. I. Kraszewskiego*. 2 Tomy in 8vo.

Kontrakty. Dramat w pięciu aktach przez *Karola Drzewieckiego*. in 8vo.

16

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
97590
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001003422096